

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 181 (Rok XI, Nr 15)

1 sierpnia 1961

Cena (Price) 1/6

KOEGZYSTENCJA „NASYCONYCH”

HISTORIA stosunków międzynarodowych roi się od sloganów i sformułowań, które wynajdowano, gdy chodziło o sklejenie takich czy innych przejściowych koalicji, soju-

szów, lub choćby tylko porozumień. Niekłóre z nich rozlatywały się bardzo szybko, inne — jak np. święte Przy mierze, którego głównym celem była walka z ruchami rewolucyjnymi w

Europie i trzymanie w ujarzmieniu Polskę — trwały dłużej. Należała do nich także „Entente Cordiale” (po polsku „Porozumienie Wzmacniające” lub „Serdeczne”), które złączyło Anglię i Francję w obliczu rosnącego niebezpieczeństwa pruskiego, choć serdeczności nie łatwo by było w nim się doszukać, poza chyba osobistymi sentymentami profrancuskimi Edwarda VII.

Po Pierwszej Wojnie światowej pojawia się slogan o „krajach głodnych” czy „krajach — proletariuszach”, tak nazwanych w przeciwieństwie do „krajów nasyconych”, za jakie w Berlinie, Moskwie, Rzymie czy Tokio uważano mocarstwa zachodnie z ich wielkimi imperiami kolonialnymi i nagromadzonymi bogactwami. Slogan ten nie znalazł wyrazu w żadnej nazwie oficjalnej, ale pojawiał się przy rozmaitych okazjach. Tak np. gdy w pewnym momencie międzywojennego dwudziestolecia Włochy Mussoliniego i Rosja Stalina uznały za pożyteczne nawiązać wzajemne stosunki handlowe, prasa obu stron drukowała artykuły o pokrewieństwie ekonomiczno-politycznym obu tych „narodów-proletariuszy”.

Dziś — jak podkreśla oficjalny historyk sowiecki prof. Tarle na łamach świeżo założonego periodyku „News”, przeznaczonego dla krajów anglosaskich, — Rosja Sowiecka jest „krajem nasyconym”. Teza artykułu głosi, że skoro także Stany Zjednoczone i Wielka Brytania są „krajami nasyconymi” i nie mają niczego do zyskania przez wojny, jest interesem zarówno tych mocarstw, jak Rosji unikać konfliktów zbrojnych i załatwiać sprawy sporne drogą rokowań i wzajemnych ustępstw. W dłuższych wywodach historycznych prof. Tarle wykazuje, że tak właśnie kształtowały się zawsze stosunki między Anglią a Rosją nawet za czasów caratu; zachodzili

ŚP. ADAM STEFAN KARDYNAŁ SAPIEHA

W czasie opracowywania niniejszego numeru przyszła z kraju wieść o zgonie kardynała Sapiehy.

Adam Stefan kardynał Sapieha, książę arcybiskup metropolita krakowskiej zmarł w Krakowie w dniu 23 lipca 1951 r., pogrążając cały naród polski, w którym zajmował szczególne stanowisko, w żalobie. Odszedł człowiek, który, kto wie, czy nie największy spośród żyjących miał autorytet w Polsce.

Adam Stefan ks. Sapieha urodził się, jako syn Adama i Jadwigi z Sanguszków, w Krasiczynie w dniu 14 maja 1867 r. święcenia kapłańskie otrzymał w dniu 2 października 1893 r. we Lwowie. W r. 1895 został prefektem seminarium lwowskiego, następnie zaś jego wicerektorem. W r. 1897 otrzymał doktorat prawa w Rzymie. W r. 1902 został kanonikiem katedry lwowskiej. W r. 1905 przybył do Rzymu, gdzie został Cameriere Partecipante papieża Błogosławionego Piusa X. W r. 1911 otrzymał sakrę biskupią i nominację na ordynariusza diecezji krakowskiej. W r. 1925 diecezja ta została podniesiona do godności archidiecezji a jej pasterz otrzymał paliusz od papieża Piusa XI. W r. 1946 otrzymał od papieża Piusa XII kapelusz kardynalski.

W czasie pierwszej wojny światowej biskup Sapieha stworzył tzw. Komitet Biskupi, który objął swoją akcją charytatywną szerokie masy polskie. Zdobył sobie też w tym czasie wyjątkowe miejsce w sercach nie tylko diecezjan ale i — ogółu rodaków. Znana była jego nieugięta postawa wobec władz. Był twardym obrońcą praw Kościoła, co doprowadziło do pamiętnego w r. 1935 konfliktu na tle pogrzebu marsz. Piłsudskiego. Na szczytach odwagi i powagi stanął w okresie okupacji niemieckiej w drugiej wojnie światowej. Jego godność i niezłomność znane były w całym kraju i otoczyły arcybiskupa legendarnym szacunkiem. Toteż za rzecz naturalną uznano wyniesienie go do godności kardynalskiej. Jako największy od czasu śmierci kardynała Hłonda autorytet w Kościele polskim, zmuszał nawet komunistów do liczenia się z sobą. Pod jego patronatem utrzymało się jedyne pismo katolickie nie ściśle religijne w Polsce. Trzykrotnie po wojnie wyjeżdżał do Rzymu, po raz ostatni w r. 1950. Choroba nie pozwoliła mu już przybyć na uroczystości beatyfikacyjne Piusa X.

Dla kraju całego a zwłaszcza dla hierarchii duchownej zgon kardynała Sapiehy stanowi stratę niepowetowaną, której skutki nie dadzą się jeszcze w pełni przewidzieć.

Kardynał Sapieha był ostatnim żyjącym na wolności kardynałem za żelazną kurtyną.

Postaci i roli Zmarłego poświęcimy dłuższe wspomnienie w następnym numerze.

oczywiście zderzenia interesów, zwłaszcza na terenie Azji, zawsze jednak przezorność i umiarkowanie mężów stanu obu krajów zapobiegały wybuchowi starcia zbrojnego. Jedyny pod tym względem wyjątek stanowiła wojna krymska w r. 1855 — wojnie tej jednak, jak przypomina prof. Tarle, przeciwnych było wielu polityków angielskich.

Gdy się czyta te wywody — zawierające podobną argumentację także w stosunku do Stanów Zjednoczonych — przychodzi na myśl okres przyjaźni sowiecko-niemieckiej po rozbiórce Polski, dokonany na jesieni r. 1939. Wówczas to w Moskwie zapoczątkowano zbiorowe wydanie rosyjskie dzieł Bismarcka jako tego męża stanu, który najlepiej rozumiał potrzebę stałego solidarnego frontu rosyjsko-niemieckiego. Bolszewicy niewątpliwie szczerze pragnęli utrzymania tego frontu z Niemcami Hitlera, jest jednak rzeczą wątpliwą, czy udało im się doprowadzić do końca edycję dzieł Bismarcka przed pamiętnym dniem 22 czerwca 1941 r.

Z wywodów prof. Tarlego jedna rzecz zdaje się nie ulegać wątpliwości: że imperium sowieckie, które w wyniku Drugiej Wojny światowej powiększyło się o olbrzymie obszary, zamieszkałe przez z górą 120 milionów ludzi, jest krajem bardziej niż nasyconym. Nie jest nim natomiast z punktu widzenia dialektyki marksistowskiej, o ile Związek Sowiecki uważać będziemy za załazek światowego państwa komunistycznego. Ten aspekt sprawy, jak w ogóle zagadnienie marksizmu w dzisiejszej sytuacji międzynarodowej prof. Tarle ze zrozumiałych względów pominął w swym artykule całkowicie. W nonszalancki sposób przeszedł też do porządku nad oczywistą sprzecznością między tym, co pisze o stosunkach między krajami anglosaskimi i Rosją w przeszłości, a propagandą sowiecką, która jak dotąd trąbiła dniami i nocą, we wszystkich językach świata, o agresywnym imperializmie Ameryki i jej „kapitalistycznych satelitów”.

Sprawa jest jasna. Moskwa czuje, że przez swoje awantury berlińskie i koreańskie ściągnęła na siebie klęskę zbrojeń amerykańskich i próbuje to teraz zahamować. Zorientowawszy się, że jej kampania „pokojowa” z gołębiami Picassa i apelem sztokholmskim nie przyniosła spodziewanych wyników, zdecydowała zakończyć wojnę w Korei i wystąpić z hasłem koegzystencji „państw nasyconych”, byle

tylko utrzymać w swych rękach panowanie nad ujarzmionymi narodami Europy środkowej i Wschodniej.

SOJUSZ HISZPAŃSKI

Zawarcie przez Stany Zjednoczone układu wojskowego z Hiszpanią wywołało duże poruszenie i otwartą krytykę w krajach zachodnio-europejskich, zwłaszcza w Anglii. Niezmierzenie charakterystyczny przykład niezadowolonia z tej strony Atlantyku stanowi artykuł w „Observerze” z dnia 22 lipca. Autor stara się obalić zarzuty, że różnice ideologiczne nie przeszkadzają sojuszmowi wojskowym i że Franco nie jest gorszy od Tity, pupila angielskiego.

„Observer” widzi dwie zasadnicze różnice między Titą a Franco. Tito — powiada on — dzieli obóz przeciwnika, Franco dzieli nasz obóz; Tito przyszedł jako suplikant, Franco zachowuje postawę triumfatora. Oba te argumenty są żenująco nieprawdziwe. Jeśli Tito dzieli obóz przeciwnika, to dlatego, że go w tym obozie nie ma; gdy tam był, nie dzielił, lecz wzmacniał. Franco dzieli obóz atlantycki, bo był poza nim; gdyby był w nim, nie dzieliłby lecz wzmacniał. Tito nie zmienił ani swej polityki komunistycznej, ani nie złagodził swego terroru, ani nie zreformował rządu. Franco zrobił przynajmniej gest usunięcia z rządu najbardziej niemilomych Ameryce osobistości. Triumfátorem nie jest ani jeden ani drugi, lecz obaj wykorzystują sytuację, przy czym powiedzieć trzeba, że Franco jest znacznie pewniejszym sojusznikiem antysowieckim niż Tito.

Jaką jest istotna przyczyna zderzenia interesów Anglii i Francji? Jest nią częściowe niezależnienie się polityki amerykańskiej od jej zachodnio-europejskich sojuszników z Wielką Brytanią na czele. Do tej pory Ameryka prowadzić mogła działania w Europie tylko w oparciu o Anglię i Francję. Stąd hamująca polityka tych państw miała istotne znaczenie krępujące dla polityki amerykańskiej. Amerykanie zaniepokojeni powolnym tempem zbrojeń państw zachodnio-europejskich, siłą wykazaną w ostatnich wyborach przez komunistów francuskich, wystąpieniem grupy Bevana w Anglii i niemiecką niechęcią do remilitaryzacji, postanowili znaleźć w Europie punkt oparcia niezależny od europejskich uczestników paktu atlantyckiego. Z tego punktu widzenia Hiszpania posiada wszelkie walory geograficzne — jest najbliższą Ameryki, a z resztą Europy łączy się tylko przez szczególnie łatwe do obrony Pireneje — ale i politycznie. Franco nie został dopuszczony do paktu atlantyckiego i dlatego właśnie może być w tej chwili instrumentem polityki amerykańskiej od tego paktu niezależnej. Może być narzędziem nacisku na atlantyckie państwa europejskie. W zawarciu paktu amerykańsko-hiszpańskiego kryje się milczące ostrzeżenie: jeżeli państwa zachodnio-europejskie nie okażą chęci i zdolności bronięcia się przed Sow-

tami, to amerykańska linia obronna w Europie ustalona będzie nie na Ła-bie czy Renie, ale na Pirenejach.

Zrozumiałe jest, że w tych warunkach związanie Hiszpanii z Ameryką budzi niezyczliwą reakcję nie tylko wśród doktrynerów lewicowych, ale także wśród polityków zachowawczych Anglii i Francji. Z polskiego punktu widzenia zawarcie układu wojskowego między Ameryką a Hiszpanią jest o tyle korzystne, że zmniejsza wagę pomocy niemieckiej a w ten sposób obniża cenę polityczną, jaką Amerykanie byłiby gotowi zapłacić Niemcom za wystawienie wojska do obrony przed Sowietami.

„JEDNA TYLKO DROGA“

Pod tym tytułem p. Aneurin Bevan i jego przyjaciele z brytyjskiej Labour Party ogłosili swój program polityczny w zakresie polityki międzynarodowej, jak również w odniesieniu do zagadnień wewnętrzno-brytyjskich.

Autorzy broszury wysuwają tezę, że dozbrojenie na skalę przewidzianą przez rząd brytyjski jest niepotrzebne, ponieważ „polityka Zachodu opiera się o jaskrawe przecenianie Sowietów”. Wychodząc z tego założenia p. Bevan zaleca, by sumy wydatkowane dzisiaj na zbrojenia szły raczej na podniesienie stopy życiowej szerokich mas, budowę znaczniejszej ilości domów, rozszerzenie opieki społecznej, zwiększoną konsumpcję i zwiększone inwestycje, i wreszcie na stworzenie funduszu, którego celem byłoby rozwinięcie zasobów i podniesienie dobrobytu obszarów azjatyckich i afrykańskich.

Niewątpliwie zamiarem p. Bevana i jego grupy było sformułowanie programu socjalistycznego, dokoła którego zwolennicy Partii Pracy mogliby się skupić w najbliższych wyborach do parlamentu. Zawołaniem ich jest „więcej socjalizmu”, podczas gdy w ich przekonaniu obecny rząd labourystowski prowadził politykę wewnętrzzną i zagraniczną coraz mniej socjalistyczną. Broszura grupy p. Bevana wydana w tym momencie oznacza przeniesienie konfliktu wewnętrzznego z terenu polityki rządowej do szeregów partyjnych, gdzie tezy jej obliczone podniesienie poziomu życia rzesz robotniczych mogą liczyć na pewne powodzenie. Fakt, że cała prasa polityczna Wielkiej Brytanii z wyjątkiem komunistycznego „Daily Workera” i tygodnika „New Statesman and Nation” zajęła stanowisko negatywne wobec polityki zalecanej przez grupę p. Bevana, bynajmniej nie oznacza końca kariery tej grupy, a zwłaszcza p. Bevana, walczącego o przewodnictwo w Partii Pracy z grupą przywódców bardziej umiarkowanych, z p. Attlee i Morrisonem na czele.

Silną reakcją angielskiej opinii publicznej wywołał przede wszystkim argument, że należy zwolnić tempo i zmniejszyć zakres zbrojeń, że Wielka Brytania powinna użyć w całej pełni swej silnej pozycji partnera obozu zachodniego, aby powstrzymać Amerykanów od przeprowadzenia ich o-

becnych planów i że rząd brytyjski powinien naciskać na Stany Zjednoczone, aby „uczyniły najwyższy wysiłek na rzecz doprowadzenia do ugody z Rosją na przestrzeni najbliższych dwóch lat”. Założeniem p. Bevana jest, że o wiele łatwiej byłoby dojść do porozumienia z Rosją, gdyby mocarstwa zachodnie podjęły negocjacje w chwili, kiedy są jeszcze słabsze, niż wówczas, gdy będą mieć zdecydowaną przewagę sił nad Związkiem Sowieckim.

P. Bevan i jego grupa nie dają żadnych dowodów na swoje twierdzenie, że Związek Sowiecki jest wojskowo słabszy aniżeli to się powszechnie na Zachodzie przyjmuje. I w tym tkwi największa słabość argumentacji autorów broszury. Bo czy można opierać politykę o pobożne życzenie, nie poparte żadnymi faktami, skoro rządy zachodnie są w posiadaniu materiałów i cyfr mówiących wręcz coś przeciwnego? Rozumowanie, jak to czynią autorzy broszury, że Stalin nie będzie śmiał zdobyć się na podbój Europy ponieważ, gdyby to uczynił, Amerykanie i tak nie wycofali się z walki i nie zostawiliby go w posiadaniu tych zdobyczy, jest więcej niż naltwne. Jaki interes bowiem miałyby Ameryka w tym, by podtrzymywać gospodarczo i wojskowo Europę zachodnią, skoro kontynent europejski miałby spaść jak dojrzały owoc w ręce Stalina?

Również na niczym nie oparte są nadzieje autorów broszury, że władcy Kremla byłby bardziej ugodowi, jeżeliby świat zachodni zaproponował „międzynarodowe rozwiązanie” takich zagadnień, jak kwestia ropy na środkowym Wschodzie, bądź umiędzynarodowienie dróg wodnych, jak Kanał Sueski, Dardanele i... Kanał Panamski (ta ostatnia propozycja wręcz zakrawa na żart). To samo odnosi się do innej propozycji, aby zaprosić Związek Sowiecki do współpracy w zakresie rozwoju obszarów azjatyckich i afrykańskich. Przecież na obszarach tych Moskwa już robi co może, aby je oderwać od wpływów zachodnich; wzmocnienie płących kolumn sowieckich na tych obszarach nastąpiłoby automatycznie w ślad za dopuszczeniem gospodarczych ekspertów rosyjskich.

Fakt, że po wszystkich doświadczeniach ostatnich lat mogła się znaleźć grupa polityczna zamykająca oczy na zagrożące Zachodowi niebezpieczeństwo ze strony Wschodu, musi napaść niepokojem wszystkich, trzeźwo oceniających sytuację.

ŻYZNY PÓLKSIEŻYC

Terenem najbardziej interesującym w polityce światowej stał się w ostatnich tygodniach znowu Bliski Wschód. Przewlekły a jednocześnie zaogniony spór o naftę między Persją a Wielką Brytanią spowodował interwencję amerykańską i bodajże jeszcze bardziej wskutek niej się skomplikował. Echem tego sporu jest proces między Towarzystwem eksploatującym naftę mezopotamską a rządem Iraku. Niepokój na Bliskim Wschodzie

nie ogranicza się jednak do tych krajów, lecz znajduje swoje odbicie we wszystkich niemal państwach tzw. „żyznego półksiężycza”, ciągnącego się od Zatoki Perskiej po Kanał Sueski.

Na drugim końcu tego „żyznego półksiężycza” spór angielsko-egipski, istniejący w formie egipskich żądań usunięcia się Anglików z Sudanu i tzw. zony kanałowej, rozszerzył się wskutek rewizji dokonywanych przez Egipcjan na statkach przepływających przez Kanał Sueski. Egipt uważa się za będący wciąż w stanie wojny z Izraelem i stara się utrzymać blokadę państwa żydowskiego. Po ostatnich incydentach na Morzu Czerwonym i w samym Kanale Wielka Brytania zdecydowała się wnieść sprawę przeciw Egiptowi na Radę Bezpieczeństwa ONZ.

W środku „żyznego półksiężycza” nastąpiły wydarzenia najbardziej dramatyczne. Wkrótce po zamordowaniu premiera libańskiego i po zamordowaniu poprzedniego premiera perskiego, zamordowany został król Jordanu Abdullah. We wszystkich trzech wypadkach morderstwo wyszło z kół fanatyków muzułmańskich, będących wrogami Anglii i tych wszystkich czynników politycznych na Bliskim Wschodzie, które są z Anglią związane. Ostatnie zabójstwo, króla Abdullaha, wiąże z ruchem nacjonalistów palestyńskich, na których czele stoi Wielki Mufti Jerozolimy, w czasie ostatniej wojny sprzyjający osi, a nawet goszczony uroczystie przez Hitlera.

Król Abdullah, chociaż władał najouboższym z krajów Bliskiego Wschodu, był filarem polityki brytyjskiej w świecie arabskim. Był on ostatnim żyjącym synem króla Husseina z rodu Haszemitów. Król Hussein, przyjaciel i protegowany słynnego Lawrence'a był kandydatem na Kalifa Wszystkich Wiernych i miał ambicje przejęcia spadku duchowego i politycznego po sultanach tureckich. Złożył swoją stolicę w świętym mieście Mekka, a jego synowie objęli spadek po zlikwidowanym imperium tureckim osiadając na tronach Bagdadu i Ammanu.

Zajordański Amman miał być zresztą tylko czasową stolicą Abdullaha, ambicją jego było panowanie nad całą Syrią i Palestyną. Jednakże polityka czynników wojskowych brytyjskich, którą reprezentował Lawrence znalazła się w konflikcie z polityką konserwatystów, którzy w osobie lorda Balfoura przyrzekli utworzenie siedziby narodowej żydowskiej w Palestynie. Wielka Brytania objęła protektorat nad Palestyną, a zazdrosnemu sojusznikowi francuskiemu zezwolić musiała na objęcie protektoratu nad Syrią. Abdullahowi pozostała tylko Transjordanja.

W parę lat po wojnie katastrofa spotkała samego Husseina. Arabi wahabcy z głębi półwyspu, prowadzący życie koczownicze i należący do purytańskiej sekcji muzułmańskiej, znaleźli wielkiego wodza w osobie Ibn-Sauda. Ibn-Saud przepędził Husseina ze świętej Mekki i z całego Hedżasu. Jest on dzisiaj największym spośród władców arabskich. Ścisłe prze-

strzeganie przepisów Koranu nie przeszkodziło mu w zawarciu układów handlowych z Amerykanami, które doprowadziły do uruchomienia wielkiego saudyjskiego zagłębia naftowego na Półwyspie Arabskim, posiadanie zaś miejsc świętych islamu zapewnia mu wpływ gotówki przez pielgrzymów z całego Wschodu.

Król Abdullah nie był popularny także wśród swoich muzułmańskich sąsiadów. Irak, Syria, Liban, Jordan i Egipt stanowią tzw. Ligę Arabską. Ideę Ligi Arabskiej swoim przyjacielom wszczepił Lawrence w czasie pierwszej wojny światowej. Miała ona wówczas być urzeczywistniona pod przewodnictwem rodu Haszemitów. Do koncepcji tej w czasie drugiej wojny światowej powracał minister Eden.

W rzeczywistości jednakże Liga Arabska jest tworem nadzwyczaj słabym. Przyczyną tego jest nie tylko słabość państw arabskich, ale i brak solidarności między nimi, różny stosunek do zagadnień polityki światowej. Czynnikiem łączącym państwa Ligi było przeciwstawianie się planom żydowskim, lecz ten czynnik stawał się zarazem częściowo przeciwko Anglii i Ameryce. Gdy przed paru laty wybuchła wojna Ligi Arabskiej z Izraelem, Irak, Syria i Egipt wykazały ogromną nieudolność wojskową. Jedynym czynnikiem wojskowym o pewnym ciężarze okazał się emir Transjordanii, Abdullah ze swoim „Legionem Arabskim”, zorganizowanym przez Anglików. Zajął on wschodnią, czysto arabską część Palestyny i zawarł rozejm z Izraelem. W Egipcie i Syrii uznano to po cichu za zdradę.

Ze śmiercią Abdullaha znika z widowni politycznej czynnik, jakim był ród Haszemitów. Gałąź tego rodu panująca w Iraku nie posiada swobody decyzji, lecz jest w dużej mierze zależna od ruchu nacjonalistów arabskich w tym kraju. W Transjordanii, która jest tylko przedsiwkciem Palestyny, pozostaje na placu Wielki Mufti z nacjonalistami arabskimi.

Nacjonalizm arabski nie posiada tradycji ani siły politycznej nacjonalizmu tureckiego. Jest w znacznej mierze ksenofobią i fermentem. Dlatego też to, co wydawałoby się najbardziej naturalne, a mianowicie oparcie polityki anglo-amerykańskiej na Bliskim Wschodzie przeciwko naporowi sowieckiemu na ruch narodowy arabskim i perskim, podobnie jak na ruch narodowy tureckim, jest w obecnej sytuacji prawie niewykonalne. Nie tylko dlatego, że państwa anglosaskie są w konflikcie z tymi ruchami na tle spraw ekonomicznych, ale także dlatego, że ruchy te są nieokrępie, związane raczej negacją niż wspólnym dążeniem, i pod wielu względami bardzo prymitywne.

Pustkę, która powstała w świecie arabskim wskutek upadku politycznego Turcji, wypełniła do pewnego stopnia Wielka Brytania działając jednocześnie od wschodu z Indii i od zachodu z Morza Czerwonego. Używanie przez Indie niepodległości usunęło je w znacznej mierze z widowni polityki światowej. Pustka ujawniła

się na nowo i, w bardzo niebezpieczny sposób, zgodnie ze znanym prawem natury wywiera wpływ przyciągający na imperium sowieckie.

Na szczęście Turcja, chociaż okrojona, istnieje nadal i przedstawia poważną siłę wojskową. Wspomagana przez Amerykę jest ona zdolna bronić swojej niepodległości i stanowi w tej chwili jedyną realną przeszkodę w ekspansji sowieckiej ku ciepłym morzom. Nic więc dziwnego, że pod wpływem ostatnich wydarzeń Anglia zaniechała oporu przeciwko projektom amerykańskimi i zgodziła się na przyjęcie wprost do paktu atlantyckiego Turcji i Grecji. ścisła współpraca angielsko-turecka przy poparciu Ameryki stanowi dzisiaj, jeśli nie jedyną, to w każdym razie główną możliwość obrony Bliskiego i Środkowego Wschodu przed naporem sowieckim.

POD WEZWANIEM DZIERŻYŃSKIEGO

Rocznice tzw. manifestu lipcowego połączyli komuniści z obchodem 25-lecia śmierci twórcy sowieckiej policji politycznej Felksa Dzierżyńskiego. Dzierżyński, Polak z pochodzenia, był istotnie jednym z najbardziej zasłużonych dla rewolucji bolszewickiej ludzi. Gdyby nie było Dzierżyńskiego i jego terroru, może nie byłoby i imperium Stalina. Był to jeden z najkrwawszych morderców w dziejach, przy tym psychopata, dość typowy przedstawiciel najgorszych stron inteligencji z okresu „fin de siècle“. Pomnik jego odsłonięto na częściowo odbudowanym Placu Bankowym w Warszawie.

Uroczystości te stały się okazją do

STANISŁAW OZGA

PLAN SCHUMANA

REALIZACJA planu Schumana wchodzi obecnie w swą końcową fazę. Zainicjowany dramatycznym apelem francuskiego ministra spraw zagranicznych, po blisko rocznych pertraktacjach, plan został ostatecznie w kwietniu br. przyjęty przez konferencję ministrów zainteresowanych państw Europy zachodniej w obecnej swej formie i oczekuje na ratyfikację. Od rozwoju wewnętrznej sytuacji politycznej we Francji po ostatnich wyborach oraz wyjaśnieniu statusu politycznego Niemiec zachodnich, zależy, czy względnie kiedy zostanie on ratyfikowany.

Atrakcyjność planu Schumana tkwi w tym, że w obecnym, pełnym obaw co do najbliższej nawet przyszłości świecie, stwarza on wizję możliwości trwałego pokoju w Europie zachodniej, czyniąc wojnę pomiędzy Francją a Niemcami prawie niemożliwą. Konsekwencją polityczną, dłużej falową wprowadzenia w życie planu Schumana byłaby unifikacja tej części Europy, a wreszcie i całego kontynentu europejskiego.

Oprócz tego politycznego aspektu, plan Schumana posiada — większą

wielkiego zjazdu „satelitów“. O znaczeniu tego zjazdu świadczy, że delegacja sowiecka składała się z premiera Mołotowa, marszałka Żukowa i ambasadora Sobolewa. Jakiego rodzaju narady odbywały się poza oficjalnymi uroczystościami ku czci kata czerezwyczajki, dotąd nie wiadomo. Mają one niewątpliwie znaczenie dość poważne. Poprzedni pobyt Mołotowa w podobnym charakterze w Warszawie był zapowiedzią zmiany linii polityki państw okupowanych w stosunku do Niemiec i Europy zachodniej. Obecność Żukowa może wskazywać na wojskowe znaczenie zjazdu, obecność Ulbrichta, premiera wschodnio-niemieckiego, może wskazywać, że sprawa niemiecka i tym razem zajmie miejsce w decyzjach dyktowanych przez Kreml.

Połączoną z uroczystością defiladę wojskową odbierał (konno) Rokossovski. Świadczy to, że albo pogłoski o zamachu na niego były nieprawdziwe albo też zamach był niedany.

ŚMIERĆ PETAINA

Zmarł po przeżyciu blisko wieku ostatni z marszałków Francji, zwycięzca spod Verdun, Filip Pétain.

W r. 1940 Pétain, kapitulując i kolaborując, nie tylko miał za sobą prawo (był mianowany premierem przez prezydenta Lebruna, w jego imieniu podpisał kapitulację, wielkie pełnomocnictwa i stanowisko głowy państwa otrzymał od parlamentu po rezygnacji Lebruna) ale i poparcie ogromnej większości Francuzów. Robił to, czego się po nim społeczeństwo spodziewało. Przez swój upór i chłopską chytrą (Pétain był synem chłop-

skiej rodziny z północnej Francji) ocalił wiele tysięcy żyć francuskich i ochronił Francję od rabunku. Odmówił sojuszu z Niemcami przeciw Anglii i przeniesienia się do okupowanego Paryża. Odsunął na pewien czas od władzy zbyt proniemieckiego Laval. Jeżeli polityka kolaboracji była niegodna, to nie Pétain był jej winien, lecz pokolenie francuskie, które biec się nie chciało a potem rade było okupić spokój wolnością. Nastroje zmieniły się dopiero wówczas, gdy Niemcy zaczęli wywozić na roboty a lotnictwo sojusznicze rozpoczęło systematyczne bombardowanie.

Przez zwałenie winy na Pétaina i skazanie go w r. 1945 na dożywotnie więzienie sędziowie francuscy wykazali małość niegodną wielkiego narodu, który powinien mieć odwagę przyznawania się do własnych załamania, bez czego niemożliwe jest odrodzenie polityczne. Zrzucenie winy na starego Pétaina zaciążyło na rozwoju politycznym Francji ostatnich lat kilku ciężiej niżby się wydawało.

RADA POLITYCZNA

W dniach 28 i 29 lipca odbyła się kwartalna sesja Rady Politycznej w Londynie. W pierwszym dniu obrad, które odbywały się publicznie, w sali Caxton Hall, po sprawozdaniu przewodniczącego Wydziału Wykonawczego Rady, min. J. Zdziechowskiego i dyskusji, p. S. Korboński zreferował stanowisko polityki amerykańskiej wobec problemu Europy środkowo-wschodniej.

Szczegółowe sprawozdanie z posiedzenia Rady Politycznej podamy w następnym numerze „Myśli Polskiej“.

próbą organicznego związania ciężkiego przemysłu Europy zachodniej, wydaje się zatem celowe przypomnienie wcześniejszych w tej dziedzinie inicjatyw, gdyż na ich tle zarysowuje się lepiej właściwy jego sens.

Gdy po zwycięstwie nad Francją w 1871 r. Niemcy anektowały Lotaryngię, zdobyły dzięki temu większą część najbogatszych w Europie złóż rudy żelaznej. Na lata 1890 — 1913 przypada ogromny w tym zagłębiu rozwój produkcji stali, inicjowany przez przedsiębiorstwa posiadające swe siedziby w Zagłębiu Ruhry, w oparciu o węgiel i koks tegoż zagłębia. Wielkie ilości rudy żelaznej i półfabrykatów stali, produkowanych w hutach Lotaryngii i Luksemburga, używane były jako surowiec dla dalszych faz produkcji przedsiębiorstw Ruhry.

Powrót Lotaryngii do Francji w 1918 r. przywrócił polityczną granicę pomiędzy złóżami żelaza i kopalniami węgla tego najpotężniejszego ośrodka ciężkiego przemysłu Europy zachodniej, niemniej jednak nie rozbił go od razu jako organicznej całości gospodarczej — obrót węgla i rudy pozostał w tej fazie nadal wolny. Dope-

Plan Schumana nie jest pierwszą

ro odzyskanie przez Niemcy w 1925 r. suwerennych uprawnień w zakresie ustalania taryf celnych spowodowało rozbiście gospodarcze tego jednolitego organizmu granicą celną.

Jakkolwiek zarówno Francja jak i Niemcy położyły duży nacisk na rekonstrukcję swego ciężkiego przemysłu i na uniezależnienie się wzajemnie w granicach ekonomicznie możliwych, to jednak szybko okazała się konieczność stworzenia dość ścisłych form współdziałania, zwłaszcza iż konkurencja przemysłu amerykańskiego zaczęła dawać się Europie coraz silniej odczuwać. W tej atmosferze powstał pierwszy międzynarodowy kartel stalowy w 1926 r., do którego weszły Francja, Niemcy, Belgia i Luksemburg. Celem wyeliminowania walk konkurencyjnych pomiędzy członkami kartelu, ustalone zostały maksymalne normy ich produkcji, których przekroczenie pociągało pewne sankcje karne. Układ kartelowy otwierał rynek niemiecki dla lotaryńskiej i luksemburskiej produkcji żelaza i stali. Wielkie nadzieje jakie przywiązywano do powstania tegoż kartelu, jako w pewnej mierze preludium do gospodarczej a może i politycznej unifikacji Europy — nie ziściły się. Niemcy, które w owym okresie wchodziły w fazę racjonalizacji swego przemysłu przy pomocy kredytów amerykańskich, zaczęły szybko uważać umowę kartelową za wysoce dla siebie niekorzystną i myśleć o wycofaniu się z niej. Wielka depresja gospodarcza, która rozpoczęła się na świecie u końca lat dwudziestych położyła kres tej próbie wiązania organizacyjnego ciężkiego przemysłu Europy zachodniej.

Druga wojna światowa przyniosła zupełne niemal zniszczenie struktury europejskiego przemysłu ciężkiego oraz fizyczne zniszczenie dużej ilości zakładów przemysłowych. Stąd też po ustaniu działań wojennych powstała we wszystkich niemal państwach tendencja nie tylko odbudowy produkcji przedwojennej — w ramach narodowych planów gospodarczych — ale znacznego jej jeszcze zwiększenia, by przez podwyższenie dzięki temu własnego eksportu zapewnić sobie większą niezależność gospodarczą. Tak np. według planu Monnet'a produkcja stali we Francji miała dojść w 1952 — 53 r. do 12.5 mln ton, podczas gdy w 1928 r. nie przekraczała 9 mln. Nie mniej ambitne plany ekspansji swego ciężkiego przemysłu wykazały Włochy czy Holandia, a jedynie Belgia i Luksemburg „ograniczyły” się do planowania raczej modernizacji swych zakładów przemysłowych niż ich rozbudowy. Wynikiem tego rodzaju polityki gospodarczej było osiągnięcie przez państwa Europy zachodniej łącznie z Wielką Brytanią już w 1949 r. w produkcji stali najwyższego poziomu z okresu przedwojennego.

Z konieczności przy opracowywaniu planów gospodarczych państw zachodnio-europejskich we wcześnie powojennym okresie, rola przemysłu niemieckiego nie była we właściwych rozmiarach brana pod uwagę.

Tymczasem po przeprowadzeniu reformy walutowej normalizacją życia

gospodarczego Niemiec zaczęła postępować niezwykle szybko, a produkcja ich stała i jej eksport przybrały już w zimie 1949 — 50 r. tak bardzo na sile, iż stały się poważnym już czynnikiem konkurencyjnym dla wywozu Francji i Belgii. A był to okres gdy modernizacja przemysłu niemieckiego prawie jeszcze się nie rozpoczęła, a nowe jego formy organizacyjne były dopiero w fazie krystalizowania się.

Stało się wówczas widoczne, że rekonstrukcja przemysłu stalowego i węglowego osiągnięta w Europie zachodniej poziom, przy którym obawa nadprodukcji stała się czynnikiem realnym.

Tym rozwojem wypadków poczuła się w pierwszym rzędzie zagrożona Francja, będąca w fazie rozbudowy swego ciężkiego przemysłu. Nic też dziwnego, że z jej strony podjęta została inicjatywa uporządkowania sytuacji międzynarodowej na tym odcinku, w formie tzw. planu Schumana.

W uzgodnionym ostatecznie brzmieniu sześć państw członkowskich a mianowicie Francja, Niemcy, Belgia, Luksemburg, Holandia i Włochy stwierdzają, iż celem układu jest „połączenie” ich przemysłu węglowego i stalowego, przez usunięcie wszelkich barier hamujących wolny obrót tymi produktami i stworzenie przez to „jednego rynku”. Umożliwi to konsumentom równy dostęp do surowców i gotowych produktów na całym obszarze tegoż rynku, oraz przyczyni się do racjonalnego rozwoju jego bogactw naturalnych, modernizacji przemysłu, a w konsekwencji i zwiększenia ekspansji gospodarczej państw członkowskich.

Zdając sobie sprawę z tego, iż proces tworzenia jednego rynku musi być w czasie rozciągnięty, układ przewiduje, iż z końcem pierwszych sześciu miesięcy od czasu wejścia jego w życie, które będą stanowiły okres przygotowawczy, zostanie zorganizowany wolny rynek tylko dla obrotu węglem, surowką żelaza i żelazem, a dopiero z końcem dwóch następnych miesięcy zostanie włączona w obrót ten i stal. W okresie tym mają również rozpocząć swą działalność przewidziane układem organy międzynarodowe, oraz winny zostać podjęte kroki w kierunku uregulowania różnych trudności, jakie w stosunkach gospodarczych między państwowych wywoła powstanie nowej organizacji; między innymi stworzenie pewnych form współpracy z Wielką Brytanią.

Układ przewiduje, iż pierwszych pięć lat stanowić będzie okres przejściowy, w czasie którego mają być zlikwidowane wszelkie subwencje i różne formy pomocy specjalnej, niezbędne w pierwszej fazie realizacji planu, dla słabszych członków porozumienia, by umożliwić im stopniowe, bez wielkich wstrząsów dostosowanie się do istnienia i funkcjonowania jednego rynku. Trwanie samego układu przewidziane jest na lat 50.

Struktura nowej organizacji jest stosunkowo skomplikowana, będąc wynikiem wielu kompromisów, bez których osiągnięcie porozumienia było niemożliwe. Organem naczelnym, kie-

rującym działalnością nowej organizacji jest Wysoka Władza (High Authority) składająca się z 9 członków, obywateli państw członkowskich, z których 8 wyznacza rządy 6 państw w drodze jednomyślnej decyzji, dwiętego zaś wybierze pozostających ośmiu. W łonie tegoż organu decyzje podejmowane będą zwykłą większością głosów. Są one wiążące dla rządów państw członkowskich.

Organem łączącym Wysoką Władzę z rządami zainteresowanych państw ma być Rada złożona z 6 ministrów (Council of Ministers), przy czym do ważności jej uchwał potrzebna będzie bądź jednomyślność, bądź kwalifikowana większość 4 głosów, w tym głos Francji lub Niemiec. W ten sposób oba te państwa zapewniły sobie większy w stosunku do innych członków wpływ na rozwój przemysłu i regulowanie handlu międzynarodowego.

Rodzajem parlamentu nowej organizacji jest Zgromadzenie (The Assembly), składające się z 78 delegatów, z czego po 18 delegatów posiadać mają Francja, Niemcy i Włochy, po 10 Belgia i Holandia, zaś 4 Luksemburg. Zgromadzenie zbiera się raz w roku celem przedyskutowania sprawozdania przedkładanego przez Wysoką Władzę; większością 2/3 głosów Zgromadzenie może zażądać rezygnacji Wysokiej Władzy.

Organem mającym czuwać nad właściwym wykonaniem układu jest Sąd (Court), składający się z 7 sędziów wyznaczonych na okres 6 lat w drodze porozumienia się rządów zainteresowanych państw.

Poza tym układ przewiduje utworzenie Komitetu Doradczego (Consultative Committee), złożonego z 30 do 51 osób, mianowanych przez Radę Ministrów spośród przedstawicieli producentów, robotników i konsumentów w równej liczbie. Do zadań tegoż Komitetu należeć będzie udzielanie opinii w sprawach dotyczących ustalania programów produkcji, właściwej jej organizacji itp.

Zadania, dla realizacji których cała ta skomplikowana organizacja została stworzona były w pierwotnym projekcie planu Schumana znacznie szersze planowane niż są określone w ostatecznym jego sformułowaniu. W początkowej swej fazie plan był właściwie programem polityki pełnego zatrudnienia na całym obszarze państw członkowskich. Obecnie cele jego są skromniejsze — zwiększenie wydajności przemysłu węglowego i stalowego Europy zachodniej, obniżenie tą drogą cen ich produktów, a w następstwie tego zwiększenie ekspansji przemysłu i obrotów w handlu międzynarodowym. Koszty produkcji winny spaść w rozmiarach większych niż to przewidywały plany gospodarcze poszczególnych państw, gdyż stworzenie jednego, wolnego rynku pozwoli na większą specjalizację i wyeliminowanie słabszych przedsiębiorstw, a m. in. zamknięcie nieopłacalnych kopalń węgla (będzie to miało miejsce np. w Belgii, gdzie szereg zupełnie nierentownych kopalń jest prowadzonych wyłącznie ze względów taktyczno-politycznych).

Plaće, wbrew pierwotnym sugestiom inicjatorów planu, zostały wyłączone spod ingerencji organów nowej organizacji międzynarodowej. Państwa członkowskie same decydują o ich poziomie i są upoważnione nawet do obniżania ich w drodze dewaluacji swej waluty, z tym zastrzeżeniem jednakże, iż powodem obniżki płac nie może być wyłącznie chęć stworzenia sobie lepszych warunków konkurencyjnych. Poszczególne kraje zastrzegły sobie również dyskrecyjne prawo ustalania wysokości taryf przewozowych, z wyłączeniem jednakże możliwości wprowadzenia dyskryminacji na korzyść własnych produktów.

W zakresie polityki cen przyjęta została zasada, iż winny być one utrzymywane na możliwie najniższym poziomie, z tym jednak, iż zarówno deprecjację jak i normalne oprocentowanie kapitału należy w nie w kalkulować. Wysoka Władza będzie miała prawo ustalania cen maksymalnych, jeśli dojdzie do przekonania, iż ceny są zbyt wysokie przy uwzględnieniu przytoczonej wyżej zasady. W okresach depresji Wysoka Władza będzie miała również prawo ustalania cen umiarkowanych, zaś Rada Ministrów będzie wówczas uprawniona do ustalania kontyngentów produkcji i kar za ich nieprzestrzeganie.

Zadaniem i obowiązkiem Wielkiej Władzy jest nie tylko przestrzeganie by istniały warunki dla „fair“ konkurencji na obszarze krajów członkowskich, ale planowanie produkcji, a zatem popieranie jej rozwoju tam, gdzie koszty są lub mogą być niższe. Stałe badanie rynku, pomoc kredytowa, udzielanie gwarancji, względnie nawet bezpośrednie finansowanie rentownych instytucji przez udzielanie bezzwrotnych subwencji, stanowią

mają środki, przy pomocy których realizowane będą cele planu.

Wprowadzenie w życie tej, w ogólnych zarysach przedstawionej organizacji, będzie musiało następować stopniowo, we wspomnianym uprzednio okresie przejściowym. Tak np. Francja i Belgia nie będą musiały sprzedawać swego węgla od razu po niższych cenach niemieckich, ale przez pewien czas kopalniom ich wykazującym wysokie koszty wydobycia udzielane będą subsydia, finansowane częściowo przez kopalnie o niskich kosztach produkcji, częściowo przez rządy zainteresowanych państw. Również Włochy będą uprawnione do obciążania nadal cłem stali importowanej z innych krajów objętych planem Schumana i stopniowego jedynie zmniejszania swych stawek celnych w ciągu 5 lat.

Trudno już w obecnej chwili przewidzieć jaka będzie przyszłość tej nowej organizacji międzynarodowej. Zapewne w okresie przejściowym świadczona ze strony Niemiec będą większe niż korzyści przez to państwo uzyskiwane. Czy uda się stalowniom Lotaryngii wytrzymać konkurencję ze stalowniami Ruhry jest zupełną niewiadomą. Można tylko spekulacyjnie przewidywać, iż z biegiem lat Francja stanie się bardziej niż obecnie zależna od produkcji Ruhry, natomiast zależność Niemiec od Francji raczej się zmniejszy. Przyszłość planu Schumana zależeć też będzie niewątpliwie od tego, czy w okresie pierwszych lat jego funkcjonowania przeważać będą dodatnie czy ujemne efekty z punktu widzenia interesów gospodarczych państw członkowskich. Jest jednak pewne, iż wiele jeszcze jest w Europie możliwości otwartych w zakresie oszczędności w kosztach produkcji, oraz wiele miejsca dla nowych metod

pracy i wyzwolenia dynamicznych sił, którym zawdzięcza swą potęgę i rozmach rynek amerykański.

Do porozumienia nie przystąpiła — jak wiadomo — pomimo zaproszenia Wielka Brytania z przyczyn zarówno natury gospodarczej jak i politycznej. Nie ulega wątpliwości, iż przemysł węglowy i stalowy państw Europy zachodniej stanowią technicznie, niezależnie od planu Schumana pewną gospodarczą jedność, a powiązania między nimi były i są znacznie silniejsze niż z przemysłem Wielkiej Brytanii, nastawionym w pierwszym rzędzie na ekspansję na rynki Wspólnoty Brytyjskiej. Stąd też wtłoczenie gospodarki brytyjskiej w ramy planu Schumana byłoby bezsprzecznie trudniejsze, niż którejkolwiek z krajów Europy zachodniej. Obok tych względów dużą rolę odegrała również niechęć obecnego socjalistycznego rządu brytyjskiego zrzeczenia się na rzecz organizacji międzynarodowej pewnej części swych uprawnień suwerennych w zakresie tak kluczowych przemysłów jak węglowy i stalowy, obydwa ostatnio znacjonalizowane. Potrzeba stworzenia pewnych form porozumienia jest jednakże rozumiana, toteż już obecnie wysuwa się różne w tym zakresie projekty. Jeśli dojdzie na tym odcinku do uzgodnienia poglądów, to zmniejszy to potencjalne możliwości, politycznie bardzo niebezpieczne, wysunięcia się Niemiec na pierwszy plan we wspólnocie państw zachodnio-europejskich.

Celem stworzenia widocznego symbolu jedności państw, które podpisały układ został na wydrukowany członkami francuskimi, farbą niemiecką, na pergaminie holenderskim, oprawiony w skórę luksemburską, zeszyty nitą belgijską i owinięty w jedwab włoski.

WITOLD OLSZEWSKI

DO AUTORA POWIEŚCI „W POLSCE MIĘDZY WOJNAMAMI”

Drogi Jędrzeju,

Od dawna miałem szczerą chęć napisania o Twojej powieści. Jednakże zwlekałem. Ty byłeś tego przyczyną. W jednym z przypisów do książki podziękowałeś mi bowiem za uwagi dotyczące rękopisu. Jakże więc pisać recenzję? Pochwałę — to czytelnik powie, że ręką rękę myje. Zganien? Cóż to za doradca, który się zmienia w sędzię! A poza tym stanowczo przesadziłeś z tym podziękowaniem. Uwagi były przecież ogólnikowe i powierzchnowe. Nic chyba do Twojego rękopisu nie wniosły. Sądzę, że raczej przeszkadzały Ci w doprowadzeniu do końca tak uporczywie odtwarzanego z popiołów dzieła.

I oto ono jest. Trzy okazałe tomy, owoc wieloletniej pracy, która — gdyby ją obrócić np. w dziedzinę budownictwa — zapewne wydałaby coś w

rodzaju trasy W - Z w Warszawie lub pokaźną piramidę w Egipcie. Nie sądź, że sobie pokłiwam. Piszę to poważnie z wyrazem szczerego podziwu. Jakże więc pominąć milczeniem tę powieść z powodów tak białych jak wyżej wymienione? A więc piszę w formie listu do Ciebie. Skoro jednak temat ma charakter publiczny, nie będiesz miał mi za zło, że list ten nie będzie tylko dla Ciebie. Przyjmij go jednak tak, jak się przyjmuje listy od przyjaciół: bez zniecierpliwienia i gniewu.

We wstępie do swej powieści piszesz, że formę literacką uważasz za nie mniej skuteczną sposób oddziaływania od formy publicystycznej. Jest to stwierdzenie słuszne. Podejrzewam jednak nie bez racji, że „oddziaływanie” w danym wypadku oznacza przekonywanie o słuszności poglądów autora czyli apologię i propagandę. Co do mnie to założenie to uważam za

pierwotny grzech każdej a więc i Twojej powieści.

Postaram się to wytłumaczyć jasnie.

Propagandę można uprawiać używając formy literackiej. Jest to wynalazek stary. W naszych czasach najkonsekwentniej stosują go komuniści. Pisarz śląda do roboty z założeniem, które pragnie udowodnić. Z wyobraźni wywołuje postaci, które mają być jednocześnie ilustracją jego poglądów i dowodem. Prowadzi je jak kukiełki od sytuacji do sytuacji, nadając im gesty podobne do ludzkich. Coś z tego wychodzi, w zależności od rozmiarów talentu i znajomości rzemiosła pisarskiego. Niekiedy nawet wbrew założeniu miłość do stworzonego przez siebie człowieka porwie pisarza i wówczas kukiełki stają się ludźmi a propagandę biorą diabli. Najczęściej jednak kukiełki wykonują narzucone

im gesty, brzuchomówca wkłada im w martwe buzie swoje własne słowa, od których żarliwości — a nie od gestów kukiełek — zależy czy widz będzie przez autora porwany.

Jestem zdania, że z reguły jest lepiej mówić wprost, bez pośrednictwa kukiełek, przynajmniej do ludzi dorosłych. Kukiełki przeszkadzają i obniżają powagę argumentacji. Czytelnik łapie się na tym, że autor uważa go za dziecko. Czuje się po trosze oszukany jak chłopiec, który w świętym Mikołaju rozpoznaje wujka Kazię ukrytego pod długą brodą w waty. Czytelnik dorosły spostrzega się przecież, że wydarzenia i dyskusje tylko pozornie poruszają się w powieści według praw psychologicznych. W istocie są one po to, by przyznać autorowi rację w jego wywodach. Nawet wówczas, gdy mu się oplerają siabo i niedożęnie.

Jestem zdania, że publicystyka jest naturalną formą przekonywania. Powieść, jak każda forma literacka, ma także lub mieć powinna ładunek myślowy i atmosferę ideową. Ale jej oddziaływanie winno być inne. Ludzie w niej powinni być ludźmi a nie argumentami lub wzorami. Natomiast atmosfera ich życia, nurt moralny przepływający przez ksiązkę stwarzają ognisko promieniowania, które działa na czytelnika samo przez się. Skoro natomiast powieść zostanie potraktowana jako przystępniejsza forma publicystyki, powieść będzie kiepska a publicystyka nieprzekonywająca.

Zapewne spostrzegłeś, że znakomita większość krytyk Twojej powieści obraca się dokoła Twoich tez. Jedni gniewają się, inni zrywają się a jeszcze inni z entuzjazmem chwają. Niewiele natomiast skupia uwagę na literackiej stronie sprawy. Dlaczego? Narzućles swoim krytykom metodę: Biorą Twoją ksiązkę do ręki jako „instrument oddziaływania“.

Na szczęście każdy z nich i każdy czytelnik odczuwa, że dzieło Twoje nie jest tylko powieściowym traktatem moralno-politycznym. I dlatego są również recenzje lub części recenzji traktujące o tej ksiązce jako po prostu o powieści.

Doszliśmy już do punktu, w którym pragnę stwierdzić, że nie przyjmuję do wiadomości Twego wstępnego wyjaśnienia o „oddziaływaniu“. Sądzę, że w gruncie rzeczy jest to stanowisko pozytywne i dla Twego dzieła życiwe. Mam przed sobą powieść i o tej powieści pragnę wypowiedzieć swoje niefachowe zdanie. Poglądy Grzesia Paska obchodzą mnie tylko o tyle, o ile przy ich pomocy mogę się doszukać prawdziwego oblicza Twego bohatera. Przyznam Ci się jednak, że jego monologi (często tak bywa z gadulstwem) raczej mi to utrudniają. Jeśli natomiast przyjmę — a tak chyba w istocie jest — że poglądy Paska to poglądy Twoje, gotów jestem poddyktować z nimi przy innej okazji. Już teraz jednak — jestem tu zgodny z p. Bielatowiczem — wypowiadam zastrzeżenie. Nie uważam ich za ty-

powe ani dla katolicyzmu ani dla ruchu politycznego, do którego obaj należemy. Nie idę tak daleko jak p. Bielatowicz, który w pasji pisarskiej odmówił im wręcz charakteru zarówno katolickiego jak i narodowego. Uważam, że wyrosły one z katolicyzmu i ideologii narodowej, ale są ich indywidualną interpretacją, z którą w wielu punktach się nie zgadzam. Ale powtarzam — o tym może innym razem.

Jest więc powieść, która nie ma prawa zasłaniać się, że jest sposobem oddziaływania i która jest obciążona dziedzicznie założeniem apologetno-propagandowym. Jednakże ta powieść żyje mimo obciążeń i jakoś sobie z nimi daje radę. To jest z kolei moja pierwsza pochwała.

Przyjrzyjmy się wspólnie bohaterom przede wszystkim zaś głównemu — Grzesiowi Paskowi. Mężczyzna bez skazy. Coś między św. Stanisławem Kostką, Skrzetuskim i mędrcem. A więc nieomal kandydat na świętego. A przecież powiem Ci otwarcie, że jest niesympatyczny. Dlaczego, na miłość Boską? Doskonały ojciec rodziny i mąż, inteligentny uczonek, człowiek kochający ojczyznę głęboko i szczerze, bezinteresowny działacz polityczny, mężczyzna o czystym sercu, dobry syn, praktykujący skrupulatnie katolik. Przez całą powieść znalazłem w nim tylko trzy grzechy: Jeden powszedni — obcałowywanie nauczycielki w pociągu. Drugi śmiertelny — nienawiść do Piłsudskiego wyrażona w odczycie. Trzeci także śmiertelny — pycha przejawiana na każdej stronie powieści. I oto wlem: Grzegorz Pasek jest jako ów faryzeusz w świątyni. On jest świadomym wzorem katolickiej doskonałości. Wprawdzie po śmierci ojca pod wpływem depresji wyjada sam na siebie wyrok, mówiąc, że był pustym pyszałkiem, dumnym ze swej cnotliwości na pokaz. Ale czy to wywołało w nim zwrot? Nie! Oddał na intencję ojca swoje dotychczasowe zasługi nadprzyrodzone i po swojemu dalej świeci wzorem.

Grześ Pasek przeżywa niby pokusy i burze. W tych momentach jest mi bliski i ludzki. Ale jakież to pokusy! Pani Ola. Zapakował manatki i uciekł, jak zrobić powinien. Ale przecież nie kochał tej kobiety. A poza tym mógł uciec. Niechby spróbował prawdziwej mocy pokusy, gdyby przez pół roku musiał zostać w Tarnopolu. A pani Irena. Otarli się kolanami w tramwaju, poczuł pokusę i wyskoczył na przystanku. Problem został z miejsca przecięty. A co by było, gdyby pani Irena zagięła sobie na niego parol na serio i znalazła go następnym razem w sytuacji mniej ruchliwej strategicznie? A przygoda w czasie ćwiczeń wojskowych, kiedy to urodziwa panienka bez zbytnich skrupułów usiłowała go uświadomić praktycznie? Grześ z mocą oświadczył, że tej lekcji przyjąć nie może i wzburzony, zdruzgotany uciekł. Zapewne do tego trzeba dużego wysiłku woli, zwłaszcza gdy się ma — jak Grześ — pobudliwy temperament. Ale to nie są głębokie konflikty moralne dojrzałego mężczy-

zny. Takie pokusy przeżywa każdy sztubak. I dlatego Grześ zamiast grozy jaką odczuwał powinien dziękować Bogu, że nie był wodzony na prawdziwe pokuszenie. Takie konflikty spotyka się w dydaktycznych powieściach dla dorastającej młodzieży. W życiu ludzi dojrzałych i w powieści, która takiego życia dotyczy, perypetie erotyczne Grzegorza Paska stanowią zaledwie margines sprawy.

Grześ jest niewątpliwie człowiekiem czystego serca. Bije żeń wzruszającą świeżość chłopięcą, która sprawia, że człowiek ten ukazuje się nam od czasu do czasu jako ktoś prawdziwy. Ale ten rys charakteru nie jest utrzymywany we właściwej proporcji do innych. Pasek w dziedzinie erotyki jest szesnastoletnim młodzieńcem, w dziedzinie umysłowej pięćdziesięcioletnim mężczyzną o umyśle skionnym do doktrynerskiej sztywności a w dziedzinie uczuć jednocześnie siedmioletnim chłopcem i osiemdziesięcioletnim patriarchę. Brak mu chłopięcej wesołości, która powinna towarzyszyć sercu tak czystemu, za dużo śmiertelnej powagi i osiadłej dobrze pychy. Nie przekonywa, nie pociąga sobą jako wzór. Jest składanką bez jednolitego oblicza. Monolit ideowy nie jest żywym człowiekiem. Nie wierzę, by człowiek tak inteligentny i tak obdarzony bujnie nie miał zwątpień, zmagających uczuciowych i walk prawdziwych namiętności, których nie należy mieszać z wybuchami prostej zmysłowości. Mimo wielu cech sympatycznych Grzegorz Pasek jest pseudokatolickim robotem, automatem dającym gotowe odpowiedzi na wszystkie problemy życiowe i dlatego niemożliwym do naśladowania.

Zatrzymałem się dłużej nad główną postacią powieści jako najbardziej typową. Inne — każda na swój sposób — są obciążone podobnie. Stach Pasek początkowo zapowiadał się na interesujący typ mężczyzny aktywnego z wszystkimi słabościami, jakie temu typowi towarzyszą. I nagle zmienił się w nieporadnie zakochanego sztubaka a potem w mazgaja i histerycznego niedołęgę. Co to sprawiło? Małżeństwo z nieszczęsną Tecią pół-Zydówką i pół-demonem? A czymże mam sobie wytłumaczyć Tecę taką jaka jest? Dlaczego jest taka zła, dlaczego nienawidzi własnego dziecka, powoduje śmierć służącej i nieszczęśliwia męża? Przecież zło w człowieku jest wytworem jakiejś walki, przecież za nim kryje się jakieś źle przeżyte nieszczęście, jakaś słabość. Marysia, żona Grzesia, jest istnym aniołem. Ale nawet nie myśli a czuje bardzo niewiele. Nikt nie zna jej pokus, jej rozpacz, jej bezsensnych nocy. Po prostu istnieje po to, by Grześ mógł kogoś kochać i być mu wiernym. I tak jest z wszystkimi postaciami, które mają coś udowodnić.

Natomiast żyją naprawdę doskonale zaobserwowane postacie epizodyczne a przede wszystkim żyje stary pan Pasek. Jest to człowiek prawdziwy a nie programowy. Zmaga się z trudnościami, goni za mirażami, które mu u-

elekają, wątpli, ponosi klęski, z których podnosi się z uporem, bywa niekiedy wrzuszając nieporadny. Ani czarny ani biały. Ani anioł ani szatan. Człowiek sympatyczny, twórczy człowiek. Czuje się, że autor nie podąża go za sznurki. Stary pan Pasek wymknął się Twoim bezlitosnym temom i schronił się pod skrzydła Twojej pisarskiej miłości.

Ale najbardziej bucha życiem przyroda i miasto. Krajobraz jest bezużyteczny w dowodzeniu. Dlatego jest taki jaki jest, prześwietlony miłością, tęsknotą i wspaniałą pamięcią oczu. W opisach bucha poetycka wrażliwość na barwę, kształt, ruch i harmonię. Żyją w Twojej powieści Polesie, Okopy św. Trójcy, Bałtyk, podłowicka wieś, a przede wszystkim Warszawa. Gorzej już z Łowiczem, bo tam do opisu miesza się ideologia. I od razu opis staje się mdły, cukierkowy. Ogólnie wszakże sceneria powieści jest bardzo plastyczna, bardzo prawdziwa i mówi znacznie więcej niż perory Grzesia i jego perypetie życiowe.

Mimo dłuższych monologowych akcja powieści jest dość wartka i dobrze osadzona. Cenna pamięć szczegółów sprawia, że wszystko co się dzieje, dzieje się w rzeczywistości. Ludzie nie tylko rozmawiają, ale także mają kłopoty finansowe, jedzą, polują, łowią ryby, jeżdżą na spacer, chorują, podróżują. Wszystkie te czynności są ukształtowane realnie, ubrane w potrzebne akcesoria. Są doskonałe scenki rodzajowe. Atmosfera ich zarysowana kilkoma liniami niekiedy jest wręcz uderzająca. Dla przykładu wspomnę o krótkiej scenie nad ogniskiem w czasie polowania na Polesiu. Twarz poleskiego chłopca nachylna nad czerwonym ogniem, nastroj chwili wywołany przez skojarzenia to duże przeżycie artystyczne.

Styl Twój w tej powieści jest popląszonej i niedbały. Nie chcę się nad nim rozwodzić, bo to zajmuje największą część miejsca. Powołuję się na pogląd p. Pawlikowskiego w „Wiadomościach”, który całkowicie podzielam. Zdania są powykrzywiane w jakiś dziwny układ, dialogi pisane jednym i tym samym stylem, sporo dziwactw i zwy-

łych językowych błędów. Z monotonią powtarzają się te same wytarte przymiotniki („śliczny”), co wytknął Ci już słusznie p. Bielatowicz w „Kulturze”. Widać ogromną łatwość pisania i niedbały pośpiech. Ale gdy rzecz się zatrzymuje na opiale przyrody, staje się coś dziwnego. Język zaczyna potyskiwać bogactwem trafnych i świeżych słów, prostotą przekonujących porównań, staje się poetycko barwny i czysty.

Gdyby Twoją powieść przyrównać do widowiska scenicznego, to ocenę ustaliłbym tak: Wspaniałe, przemawiające do wyobraźni dekoracje, dobre kostiumy i rekwizyty, statyści żywi i trafnie rozmieszczeni. A na tym tle porusza się i działa jeden żywy człowiek — stary pan Pasek oraz gromadka postaci sztywnych, schematycznych i błędnych, które wygłaszają programowe tezy. Porównanie jest na pozór krzywdzące. Trzeba jednak pamiętać, że w powieści tło i rekwizyty odgrywają rolę bez porównania ważniejszą niż w teatrze. Stworzenie ich wymaga wizji pisarskiej i dużego talentu. Dzięki nim Twoja powieść jest powieścią i dzięki nim narzucona na ludzi apologia i propaganda zrobiły wprawdzie śmiertelne szkody bohaterom ale nie zdusiły całości.

Być jednocześnie pisarzem politycznym, moralistą i artystą to bardzo trudna sprawa, zwłaszcza, gdy w dwóch pierwszych dziedzinach ma się już duży dorobek, a w ostatniej dopiero publicznie stawia się pierwsze kroki. Działają nawyki myślowe, narzędzia bierze się z nieodpowiednich warsztatów. Twoja powieść, Jędrzeju, zdradza duży talent powieściopisarSKI i zupełną niezajomość powieściopisarzkiego rzemiosła. Tym trudniej je nabyć, że władasz już od lat z wielką wprawą rzemiosłami pozornie pokrewnymi a tak w istocie odległymi. Talentowi w jednej a wprawie w innych dziedzinach Twoja powieść zawdzięcza, że tak krančowo różnie ludzie ją oceniają. Jedno jest pewne: Nie przechodzą obok niej w spokoju, czego i niniejszy list jest dowodem.

Pozdrawiam Cię serdecznie i życząc dalszych napaści.

Jak Kazimierz władał olbrzymim państwem, panował wielkiemu narodowi, który podówczas do pierwszych jeszcze w Europie się liczył, i właśnie niedawno ów naród i owo państwo z potopu klęski wydzwignął, wrogów z granic jego wyznał, pożary od wieloków na rubieżach płonące potłumił, wkrzesił chwałę i urok polskiego imienia, raz jeszcze w ziemię wrogów poniósł polskie znaki, raz jeszcze serca nieprzyjaciół grozą potęgi Rzeczypospolitej napełnił i oto, dokonawszy dzieł, tylu tak wielkich, tak świetnych, odchodził.

Czemu? Płakała na sejmie szlachta pana dobrego, senatores w radzie upraszali kornie, aby postanowienie srogle odmienił, lecz on odszedł. Czemu?

Instynktem władcy i ojca, daleko widzącym wzrokiem męża stanu dostrzegając i rozumiając Jan Kazimierz, że ta wspaniała Rzeczpospolita, mimo zewnętrznej świetności i mimo rzeczywistych sił, które w niej jeszcze żyły, zmierza przeciw szybko ku upadkowi, ku katastrofie.

Wielka była jeszcze. I wielki i potężny był ów naród rycerski, który ją zamieszkiwał. W chwilach grozy i klęski, w chwilach śmiertelnego niebezpieczeństwa, gdy mu miecz przykładano do piersi, gdy wróg deptał jego uczuciom i wierze, umiał ten naród powstać w całej swej wspaniałości i sile, umiał zerwać się do walki, zdobyć się na czynny bohaterskie i wspaniałe; umiał jeszcze mocą swoją świat zadziwić. Ale przeciw już się coś począł psuć i rozpręgać w jego wielkim cielem. Jak gdyby pękały i łamały się jakieś wiązania i spojenia wewnętrzne, rzekłbyś, jakiś jad trujący poczyniał krążyć w jego żyłach i rozkład roznosił, krew kaził i samo życie zabijał.

Więc rozpadał się porządek państwa, gasła miłość ojczyzny w sercach obywateli, zimny egoizm jednostki, rodu i stanu wynosił się nad dobro publiczne, a nade wszystko nie stawało jasnej, śmiałej myśli politycznej, co ogarnia przyszłe sprawy i cele i nie stawało mocy ducha, która naród czyni zdolnym do ciągłego, trwałego wysiłku, gotowym do codziennej, rozumnej ofiary.

Naród szlachecki, rozmiłowany w wygodzie życia, w dostatkach i bogactwach, wygodę ową i dostatki za wszelką prawie cenę chciał zachować, w pokoju i spokoju ich używać i nie chciał widzieć nic, co by mu ów spokój zakłócało, mąciło.

Więc patrzano bezradnie jak na wschodzie wyrosła potęga Moskwy, nie umiano uczynić nic, aby na północy przeszkodzić wzrostowi Prus. Te dwie sily miały z czasem Rzeczpospolitą zetrzeć, ale w XVII wieku nie one, lecz właśnie Polska była pierwszym Europie środkowej mocarstwem. Ostatni to był czas, aby tamtych pokonać, własną pozycję utrzymać. Niestety, nie widział, nie rozumiał tego naród szlachecki, nie stać go było na wysiłek, jakiego ta wielka sprawa wymagała.

Nie umiał on już żadnego niebez-

KAZIMIERZ HASTING

DUMANIA W ST. GERMAIN DES PRÉS

P. H. M. poświęcam

WCZESNY zimowy wieczór spływał właśnie na owe miasto cudowne, na nadsekaną stolicę. Świątynia Boża tonie już w półmrokach, w półcieniach... Ale przez okna gotyckie, wysokie, przez tęczowe koronki witraży sączą się jeszcze słońca promienie ostatnie. Promień słońca, co gaśnie, jak gaśnie wszystko na ziemi, co, zda się, odchodzi, jak odchodzi i odlatuje ludzkie szczęście...

Z owych światła i blasków mdlejących i z cieniów, które zmierzch rozsiewa, niby z jakiejś tkaniny powiewnej, wzorzystej, utkanej ze złota i z kuru, wynurza się w nawle kościelnej, pomnik-pamiętka, pamięci króla Ja-

na Kazimierza poświęcona, obraz jego zwycięstwa pod Beresteczkiem przedstawiająca.

Jan Kazimierz!

Jedyny to w naszych dziejach monarcha, który dobrowolnie zrzekł się korony, złożył władzę, czy też jeno ów pozór władzy, jaki królowie polscy w tamtych czasach piastowali i właśnie tu na obczyźnie, w opactwie St. Germain ostatnich dni bolesnego żywota dokonał.

Jan Kazimierz!

Ileż wspomnień podniosłych i dumnych a zarazem smutnych budzi to imię! Ile głębokich, mądrych nauk i prawd historii przywodzi na pamięć!

pieczeństwa przewidzieć, żadnemu w porę zapobiec. Odpierał ciosy, lecz brako mu mocy, by skruszyć ramię, które je zadać miało. Naród pragnął za wszelką cenę spokoju i pokoju i boday przeto właśnie żył w ustawicznym ogniu i w chaosie. Szukał jak gdyby najłatwiejszej, beztroskiej drogi, a gdy jej znaleźć nie mógł, gdy jej przed nim w ogóle nie było, błędził pośród manowców i bezdroży, szedł ku przepaści. Szedł jakby w mroku, w złudzeniach; sam niby na wpół niewidomy, z przepaską na oczach, niby zamierające niosąc w piersi serce. Jakis sen myśli, jakiś bezwład, bezsila woli i ducha ogarnęły go, spętały.

Widział to wszystko król nieszczęsnny i czynił co było w jego mocy, aby Rzeczpospolitą ratować. Gdy wszakże wysiłki jego zawiodły, gdy rozbiły się o twardy pancerz, w jakim się uniosły i serca zawarły, postanowił odejść, aby otworzyć drogę do tronu młodemu obcemu księciu, który, zdawało się, więcej miał danych i sił, by dokonać tego, co Janowi Kazimierzowi się nie udało.

Ale i ten ostatni plan królewski zawiodł. Na elekcji szlachta wybrała królem nie Francuza, ale młode, polskie księżę, okryte wprawdzie wojenną sławą ojca, ale samo bezsilne, uosabiające całą słabość i pustkę wewnętrzną narodu.

Rzeczpospolita tedy poszła dalej swoją tragiczną drogą...

Z czasem, po wieku, po stu latach przyszło odrodzenie. Naród zbudził się z letargu, z drętwoty myśli i ducha. Jakby świeża krew, jakby jakieś nowe, odmładzające technienie zstąpiło w jego członki, zapaliło w nim nowe życie. Niestety czas minął. Przebudzenie przyszło za późno, by ocalić państwo!

Za późno, to straszne, tragiczne słowo w życiu człowieka i w życiu narodu. Oznacza jakby przegrany wyścig z czasem, z czasem, który się nie da zatrzymać, który nie powraca.

Za takie klęski i ludzkie i narody płacą niekiedy wolnością, życiem, szczęściem...

Odrodzenie polskie końca XVIII wieku przyszło za późno!

Kiedy przed tą królewską pamiątką w St. Germain przebiegamy myślą w tamte odległe czasy i tamte dawne, zagasłe sprawy i dzieje, jakże żywe stają nam przed oczyma — mutatis mutandis — podobieństwa między ową siedemnastowieczną Rzeczpospolitą, między tą epoką zmierzchu wielkiego narodu i państwa, a dzisiejszym naszym światem zachodnim!

Jakże to, zawołacie, przecież ten świat jest potężny i wielki, prawdziwą, rzeczywistą siłą i potęgą! Przecież tworzy wspaniałe dzieła, dokonuje świetnych czynów, zdobywa się na największe wysiłki, przecież w ciągu lat trzydziestu odniósł dwa największe zwycięstwa w dziejach!

To prawda. Ale czyż tamta, upadająca Rzeczpospolita nie miała swoich wielkich i świetnych chwil, czyż nie miała swoich porywów i wzlotów, swoich zwycięstw i triumfów? I czyż nie zdobywała się na czyny wspania-

łe, na wysilenia nadzwyczajne, na ofiary największe?

Jakże była wielka i świetna, gdy jej zwycięskie zastępy wkroczyły w mury Moskwy, gdy za triumfalnym rydwanem żołnierskiego szedł, w złote skowany łańcuchy, jeniec wojenny, car Wasyl Szujski! Jakże była potężna i dumna, gdy po dwakroć na polach Chocima stawiała czoło całej potędze Wschodu, gdy Sobieski na czele pancernych hufców niezrównanej jazdy, niby jakimś orlim niesiony lotem, szedł pod Wiedeń, by ocalić chrześcijaństwo!

I jakże czystym, jakże świętym płonęła ogniem, kiedy za czasów potopu szlachta, lud, mieszczenie chwytały za oręż, by kraj od najazdu uwolnić, by bronić ojczyzny i wiary! Tak! W chwilach grozy, która stawała do oczu, w chwilach ostatniej potrzeby, w chwilach głębokiego wstrząsu serca ta Rzeczpospolita umiała być wielka, była z niej potęga! Jeno jak szybko, jakże szybko niestety ta jej wielkość gasła!...

Lecz czyż to wszystko nie przypomina właśnie dzisiejszego Zachodu? Dwa razy w dwóch wielkich wojnach ogromnym wysiłkiem wywalczył zwycięstwo i dwa razy je zmarnował! Po pierwszej wojnie światowej nie zламаł ostatecznie potęgi wojskowej Niemiec, nie zburzył jej podstaw, nie zapobiegł jej odrodzeniu. Co więcej, nie dostrzegł, nie zrozumiał siły, która się w chaosie wojny zrodziła na Wschodzie, nie przeszkodził w porę złowrogemu jej dziełu.

Marszałek Foch mówił w r. 1919, że wystarczy 150.000 żołnierzy, by zламаć bolszewizm, ale zwycięskie, millionowe wojska, jak pospolite ruszenie szlacheckie, rozbiegły się do domów, rządy nie widziały grozy przyszłości i oto tych 150.000 zabrakło, nie stało! A dziś?

W drugiej wojnie światowej pokonano hitlerowskie Niemcy, ale nie rozprawiono się z drugim, straszniejszym wrogiem, przeciwnie otworzono mu bramy Europy, wydano część jej ogromną, w potęgę pozwolono urosnąć, miecz i kajdany zawiesić nad światem.

Po Wersalu przez lat dwadzieścia Zachód, a przede wszystkim Francja z jakąś lunatyczną obojętnością przysłuchiwała się odgłosom zza Renu, gdzie dźwigała się potęga, co miała wkrótce na nią uderzyć.

Po drugiej wojnie świat tak samo jakby pogrążony w letargu, syt połowicznego zwycięstwa, rozbrajał się i przyglądał się bezmyślnie i beczynie niszczeniu Moskwy, jej agresjom i gwałtom, łamaniu traktatów, patrzył jak bestia rośła, jak się tuczyła zdobywcą, by niebawem zagrozić jemu samemu.

Czyż nie podobnie postępowała tamta siedemnastowieczna Rzeczpospolita?

Po Kircholmie, Trzclanie, po Kluszyńcu, Beresteczku, Ochmatowie, po Chocimie pozostawała jakby na wpół pokonanych wrogów, nigdy żadnego z nich nie zlamała, nie obezwładniła na czas dłuższy, choć nie trudno było przewidzieć, że każdy niebawem nowe

zada jej ciosy, na nowo morze krwi z niej wycoczy.

Podobnie jak świat zachodni pozwalał niedawno na zbrojenia i zabory Hitlera, jak pozwolił Moskwie rozciągnąć się na obszarach od Pacyfiku do Elby — tamta Rzeczpospolita, niby ślepa na śmiertelne niebezpieczeństwo, pozwalała kiedyś, by Prusy — małego księstwa, z niej samej czerpiąc soki, urosły w potęgę, co miała ją w niedalekiej przyszłości rozszarpac.

Dziś, gdy siła i drapieżność Sowietów biją już w najbardziej nawet zakłopotane mózgi, przerażają najbardziej nawet wystygłe serca, gdy wróg posiada wszystkie tajemnice, wszystkie zdobycze techniczne Zachodu, ten nasz świat wreszcie zaczyna się zbroić. Zbroi się przede wszystkim Ameryka, rzuca na ten cel miliardy — wykuwa oręż. Ale powiedzmy sobie szczerze, czy naprawdę wie po co się zbroi, do czego dąży? Czy zapadła tam już jakaś stanowcza decyzja? I czy ta sama Ameryka nie porzuciłaby chętnie, nie wyrzekłaby się owych zbrojeń za jakieś nowe fikcyjne gwarancje, za jakieś nowe złudzenia, którymi mogłaby się odurzać? Świat ten, nasz świat dzisiejszy chce się odurzać i łudzić. Woli się łudzić niż spojrzeć w twarz prawdzie i wyciągnąć z tej prawdy konsekwencje.

O, jakie to wszystko podobne do tamtych smutnych naszych siedemnastowiecznych dziejów!

W świecie naszym, tak jak w ówczesnej Polsce, nie ma głębokiej myśli politycznej, myśli przewidującej, odważnej, która się nie cofa przed prawdą, choćby okrutną, która przebija mrok przyszłości. I głośno w nim owa siła moralna, z której się rodzi poświęcenie.

Toteż ten świat prowadził politykę od wypadku do wypadku, zatacza jakiegoś fantastyczne zygzyki, szamocze się wśród sprzeczności — jakby sam między dwiema sprzecznościami rozdarty: między trwogą niewoli i trwogą ofiary. Niewoli, której chciałby uniknąć i ofiary, której ponieść nie chce.

A nad tym wszystkim góruje pragnienie życia, potężne materialistyczne pragnienie spokojnego, wygodnego życia. Byle jeszcze dzień, miesiąc, byle rok! A co potem? Après nous le deluge! Bodaj potop po nas!

Tymczasem życie, prawdziwe życie, wymaga niekiedy ofiary życia, jakby w ogniu ofiary oczyszcza się i dopełnia.

Ażeby żyć — w pewnych chwilach, w pewnych warunkach — trzeba być gotowym ponieść śmierć dla czegoś, co jest wyższe nad życie, co jest warunkiem życia.

Tej prawdy nasz świat zrozumieć nie chce, usuwa ją sobie sprzed oczu. Choć chce żyć!

A tymczasem tam, gdzie na niezmiernych obszarach Wschodu, w jakichś bajecznych laboratoriach nowoczesnego alchemika, w jakichś piecach olbrzymich, gorejących żarem piekieł, wykuwa się i wypala owa broń złowieszczą, broń w ręku szatana, która niesie zagładę.

Czy świat to zrozumie, dostrzeże, pojmie?

Czy tę twardą, pełną grozy rzeczywistość ogarnie swą leniwą, skostniałą myślą? Czy zapali się w nim duch ofiary?

I czy stanie się to w porę, czy znowu nie przeminie czas jak wówczas w XVII wieku? Czas, który odchodzi bezpowrotnie?

Czy więc i tu nie padnie kiedyś znowu owo straszne przerażające słowo: za późno? Słowo, które brzmi jak nieodwołalny wyrok, które, zda się, śka, zda się płacze żywymi izami serca? Słowo, w którym, rzekłbyś, mieszka wszystka tęsknota za tym co przeminęło, umarło, co zabrał czas. Jakby tęsknota za owym ostatnim promieniem słońca, nasyconym kolorami tęczy, który kona właśnie na marmurach królewskiej pamiętki.

Nie. Wierzymy, że nie. Albowiem nie ufamy jeno ludziom, zwłaszcza tym, którzy dziś ster światła dzierżą. Nie wierzymy w ich myśl, w ich intuicję, w ich wizję przyszłości, a nade wszystko w siłę ich ducha.

Ale bieg rzeczy ludzkich zależy nie tylko od świadomego, celowego działania człowieka. Są siły potężniejsze, które działają poza nim. Są to siły prostego przypadku, który w życiu tak wielką odgrywa rolę, są to siły pewnych konieczności, wynikających z układu stosunków, z warunków ekonomicznych, z namiętności ludzkich i wreszcie, może przede wszystkim, są to siły, które poczynają się w ludzkich wprawdzie czynach, lecz jakby przechodzą, przepływają mimo człowieka.

Są to niezamierzone skutki ludzkich czynów. To, co tak mądrze wyraziło przysłowie: człowiek strzela, lecz kule nosi — Bóg.

Dzieje świata dają wiele na tę prawdę dowodów. Ileż to rzeczy wielkich kończyło się w sposób, którego nikt nie przewidywał, nie pragnął. Ileż wojen wybuchło wtedy, kiedy na prawdę nikt ich nie chciał! Człowiek działa, lecz nie zawsze odgaduje, nie zawsze zdolen jest przewidzieć ostateczne wyniki tego, co czyni.

Czy mamy tu na myśli przeznaczenie? Jakies nieprzewidywane fatum, które włada sprawami ludzi i narodów? Nie. Przeznaczenia naszego, jeśli jest nawet, nie znamy; wszystko cokolwiek czynimy jest, w pewnym sensie, naszym przeznaczeniem.

Czymkolwiek ono jest wszakże, nie odbiera nam prawa i nie zdejmuję z nas obowiązku czynienia wedle naszego rozumu i wolnej woli. Jeny wyniki nie zawsze są takie, jakie człowiek zamierzył. Albowiem one zależą nie tylko od niego samego, ale i od innych sił, które pracują ponad jego świadomością i wolą.

A moce owe zjawiają się najczęściej i działają najpotężniej w czasach niezwykłych, w czasach przewrotów, sprzeczności, chaosu, kiedy życie wyrwane z odwiecznych łożysk, staje się podobne do splenionej fali, która łamie i roztrąca wszelkie tamy, wychodzi z brzegów, rozlewa się na nowe nieznanne obszary. Może są one wtedy formą, pod którą zjawia się myśl Boga, wkraczająca w ten sposób w spletaną sprawę ludzkie.

Zyjemy w takich czasach!

Zyjemy w czasach burzy. Jej gromy szerzą zniszczenia, roznoszą śmierć, ścierają w proch największe potęgi. Ale te same gromy zapalają nowe ognie, torują nowe drogi historii!

Pójdziecie szlakiem tej burzy!

reklamie pewnych środowisk kulturalnych w Polsce przed wojną a kres swój... Nie, kresu chyba nie mają. To jedna z rzeczy tak trwałych, jak trwały jest świat i człowiek. Tym niemniej przykro jest czytać peany, jakie okładka na powieści Czuchnowskiego podaje o autorze, z wymienieniem jego życiowej martyrologii, z porównaniem do Norwida i Rimbauda oraz wykazem jego chorób.

A teraz do samej książki.

Niewątpliwą jej zaletą jest dobry język, umiejętność operowania obrazami, plastyczność opisów i udane utrzymywanie jednego nastroju, którym autor książkę rozpoczął, jednej tonacji, towarzyszącej monotonnym na ogół i ciężkim w atmosferze wydarzeniom szpitalnym. Gdyby się chciało tonację tę nazwać, zanalizować i gdzieś sklasyfikować byłoby w poważnym kłopotcie. Jest ona trudna do uchwycenia. I to chyba najbardziej wiąże prozę Czuchnowskiego z poezją, jego poezja także, w której jednym z najważniejszych i najcenniejszych elementów jest niedopowiedzenie. W powieści „Tyfus, teraz słowiki“ jest może nawet tego trochę za dużo. Rwie się przez to, skacze po różnych wątkach, we wszystkich jednak autor świadomie i celowo utrzymuje ten sam półcień, tę samą nutę dramatycznej ludzkiej pogoni za niłą szczęścia w największej tragedii, w bólu i brudzie życia. Brudu tego jest może także za dużo. Należałoby się znacznie przyćmić płom bez szkody dla ekspresji. Umiejętność gaszenia zbyt wyrwijających się płom w obrazie nie jest tylko tajemnicą malarstwa, jest także świadectwem wielkiej dojrzałości artystycznej w literaturze. Przykładów na to można by cytować bez końca. Niech to czytelnika artykułu nie szkodzi, że — mając akurat w rękę — powieść Dickensa „A Tale of Two Cities“ przypomnę scenę mordu Markiza, a właściwie cały rozdział „The Gorgon's Head“, żeby zilustrować talent gaszenia płom w momencie odpowiednim dla dodania scenie jeszcze większej ekspresji, a jednocześnie utrzymywania się w ramach artystycznej harmonii. Reguły te obowiązują zawsze. Ekspresja bowiem i harmonia artystyczna tak konieczne dla każdego dzieła, ustawiają się czasem w dwóch przeciwnych obozach i trzeba wielkiego umiaru żeby w żadnym z nich zbyt długo i zbyt głęboko nie osłaść. To, co się w zwykłym życiu, w polityce i każdej działalności publicznej nazywa umiarem, ma przede wszystkim swoje żelazne prawa w sztuce w ogóle, a w literaturze w szczególności. Nie przeszkadza to w tworzeniu wstrząsających i porywających dzieł.

Wypadanie z reguł harmonii na rzecz efektownego opisu jest może głównym grzechem książki, psującym jej konstrukcję jako całości. Pod tym względem jestem odmiennego zdania niż inni recenzenci i takie np. sceny jak wypadek Osipowej uważam za grubo przeciągnięte. Zarówno stany chorobowe, opisy ich, jak i erotyka książki przestają w pewnych momentach stanowić materiał artystyczny a stają się fotografią, podmalowaną dla

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

PROZA POETY

Późno już nieco na recenzję z powieści Mariana Czuchnowskiego „Tyfus, teraz słowiki“, ale w wypadku tym ma szczególne zastosowanie polskie przysłowie, mówiące, że lepiej późno niż wcale. Książce tej bowiem należy się większa uwaga. Ma już zresztą recenzji sporo od bardzo entuzjastycznych do nieco mniej, ale na ogół korzystnych z uznaniem dla talentu. Autor niniejszych uwag chciałby przyłączyć się do wielu z powiedzianych już zdań na temat walorów prozy Czuchnowskiego i ma nadzieję w dalszym ciągu wypowiedzi to uczynić. Musi wszakże przyłączyć się również do wyrażonych już kilku zgryźliwości, a więc przede wszystkim do... okładki.

Mówię o tym na początku, bo chcę tę nieprzyjemność jak najprędzej zrzucić z głowy, oraz dlatego, że (także ktoś o tym napisał) jest ta okładka jednym z przykładów nieco śmiesznej a nieco smutnej manieri enigracyjnej, wyrażającej się w rozdmuchiwaniu na kształt dziecinnych baloników zjawiska uznanego za epokowe przez samego autora, przez grono jego bliższych przyjaciół, lub choćby znajo-

mych, z którymi „jest dobrze“, to znaczy albo uczęszcza do pubu na piwo, albo do polskich kawiarni w najróżniejszych punktach Wielkiego Kensingtonu. W zależności od takiego samopoczucia autora i od konksji w wyżej wymienionych lokalach dzieło urasta do romansu na kształt Flauberta, do najszlachetniejszej muzy na szczycie polskiego Parnasu, lub co najmniej do takiej książki, od której już „trzeba pisać inaczej“. Konstelacje talentów, układane przez „wybitnych krytyków“, listy do redakcji obrażonych przemilczeniem, wreszcie subskrypcje z powołaniem się na tragiczne warunki osobiste i autokładki — dają pewne pojęcie z jednej strony o naszym ciężkim położeniu w możliwościach pracy pisarskiej, z drugiej zaś o niezupełnie szlachetnej tendencji wykorzystywania tego smutnego stanu kultury polskiej poza krajem.

Okładka książki Czuchnowskiego, jego czy nie jego autorstwa, ale w każdym razie chyba nie bez jego przyzwolenia, jest — niestety — potwierdzeniem owego stanu i opisanych tendencji, które mają swój rodowód w auto-

uwyciawienia tych czy innych szczegółów. Sprowadza to książkę w wielu miejscach do maniery literackiej, do trzymania się w charakterze „Grypy w Naprawie“ czy „Zazdrości i medycyny“. Zjawisko to samo w sobie było chorobą lat trzydziestych w literaturze polskiej i należy do przeszłości. Wrócenie do tamtej mody jest nieusprawiedliwione ani jej osiągnięciami ani pożytkiem dla talentów.

Erotyzm tego rodzaju w literaturze pięknej uważam za rażący i drażniący zmysł estetyczny. Gdyby autor uzasadniał to „prawdziwością życia“, tym gorzej dla niego. Wykazałby brak umiejętności przetwarzania składników naturalistycznych w dzieło sztuki. Byłoby to brak dyskwalifikujący. Na szczęście dla Czuchnowskiego zastrzeżenie się na tutaj na pewnym dystansie, powodującym zmniejszenie ujemnego wrażenia. I tu jednak — może podświadomie — działa zarazem literackiej maniery, polskiej i niepoliteckiej, wprowadzającej tanią pogoń za efektem. Moda ta sięgnęła do wszystkich środowisk literackich i fatalnie obniżyła poziom piękna elementu erotycznego w literaturze. Może to, co piszę, jest bardzo subiektywne, ale tak to właśnie widzę. Tym bardziej cenię pisarzy i dzieła, którzy z trudnym tworzywem erotyki umieją się obejść z umiarem. Niekoniecznie trzeba z takiej postawy wpaść w jakąś oleodrukową kolorowość, w mgiełkowość prerafaelitów, w pruderię i świętoszkowatość. To jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

To powieści, rzeczywistość sowieckiego życia podczas wojny, wyszło dobrze. Najbardziej na tym zyskali zwykli ludzie, szarzy mieszkańcy Rosji, którym książka oddaje to, z czego obdarła ich propaganda samych bolszewików, robiąc z nich okrutnych fanatyków doktryny, przeróżnych bohaterów pracy, sztuki itd. Pod tym wszystkim, wbrew trzydziestemu latom

nieczłowieckiej zbiorowej wiwisekcji, pozostał człowiek, ze swymi tęsknotami, ze swoim, noszonym głęboko, prawem do osobistego szczęścia, z szukaniem prawdy głębszej niż prawda gazetowa i piękna — o które w Związku Sowietkim tak nie łatwo. Tło Czuchnowskiemu udało się dobrze i ono czyni poza — ogólną poetycką tonacją — z książki dzieło ciekawe, artystycznie prawdziwe.

Uwagi recenzyjne na temat „przełomowości“ książki uważam za przesadę. Pod tym względem — tła, prawdy życiowej, pokazania człowieka w Rosji — ani Grubińskiego „Między młotem a sierpem“ ani Rudzkiej „Z domu niewoli“ w niczym Czuchnowskiemu nie ustępują, a są bogatsze i w niejednym bardziej pogłębione. Czuchnowski pierwszy z współczesnych polskich autorów postarał się na tym tle rozpiąć kanwę artystycznej konstrukcji, co — jak się rzekło — udało mu się dobrze, mimo tych czy innych usterek. Książka Czuchnowskiego zjawia się po długim bezrybiu na emigracji w polskiej powieści współczesnej. W kraju pod tym względem — poza paroma wyjątkami, należącymi zresztą również do przeszłości — jest nie lepiej. Jest gorzej. Ale to zupełnie inny temat, którego do recenzji przyrzucać nie należy. Wbrew niekorzystnej dla autora okładce, zarówno jego dotychczasowa twórczość, jak i omawiana powieść, rokuje dalszy rozwój. Warunkiem nadal obowiązującym jest zapanowanie nad temperamentem artystycznym. Jeśli jakiegokolwiek życzenia — jako czytelnik Czuchnowskiego — mam prawo wyrażać, to przede wszystkim życzenia uchronienia się od kapliczek i sitewek w polskich środowiskach intelektualnych, które dając człowiekowi przemijającą zadowolenie z reklamy i poparcia, zabierają z reguły talent.

Wiktor Trościanko

WSPOMNIENIA DYPLOMATÓW NIEMIECKICH

Otto Meissner: STAATSEKRETER UNTER EBERT — HINDENBURG — HITLER. Hoffmann und Campe Verlag. Hamburg, 1950. Str. 643.

HITLER'S INTERPRETER by dr Paul Schmidt. Edited by R. H. C. Steed. William Heinemann Ltd. London, 1951. Str. 286.

Niemieccy politycy i dyplomaci z ery międzywojennej wykazują dużą aktywność publicystyczną. W ostatnich latach ukazała się spora ilość ich pamiętników. Wspomnijmy tylko Schachta, Weizsäckera, Hasbacha, nie mówiąc o posmiertnie wydanych pamiętnikach Goebbelsa, a teraz przychodzi nam zreferować pamiętniki b. sekretarza stanu Meissnera i głównego tłumacza dyplomatycznego, słynnego dra P. Schmidta.

Otto Meissner jako stały sekretarz stanu był szefem kancelarii głowy państwa i to zarówno Eberta, jak

Hindenburga i Hitlera. Reprezentuje on typ solidnego urzędnika pruskiego, pełniącego swe obowiązki z dużym nakładem pracowitości i sumienności, a zgoła małym — wyobraźni i samodzielnej percepcji.

Meissner pisze o fenomenie Hitlera, którego zresztą ocenia pod niejednym względem z uznaniem, jeśli nawet nie z podziwem, chociaż cieplesze słowa znajduje dla Eberta i Hindenburga, poprzedników Hitlera. Ale fenomen Hitlera staje się dopiero zrozumiały na tle fenomenu społeczeństwa niemieckiego, poddającego się tak ochoczo wszelkiemu rozkazodawstwu, niestałego i niedojrzałego politycznie, obnoszącego się ustawicznie ze swoimi rzekomymi krzywdami i nimi uzasadniającego swą agresywność i brutalność wobec obcych.

Nie jest tu miejsce na pobieżne choćby referowanie rozwoju polityki wewnętrznej i zagranicznej Niemiec

od 1918 do 1945 r. w ujęciu Meissnera. Zajmuje on w sprawie rozstrzygnięć traktatu wersalskiego stanowisko nacjonalisty przy użyciu znanej frazeologii o „Kriegsschuldfrage“ o „pokrzywdzeniu“ Niemiec, o „deutscher Osten“, który Rzeszy odebrano, o „niesprawiedliwym“ rozstrzygnięciu sprawy Górnej Śląska itd.

Dosyć interesująca jest opinia Meissnera na temat układu polsko-niemieckiego z 1934 r. Niewątpliwie był on dobrze poinformowany o intencjach, którymi kierował się Hitler przy podejmowaniu decyzji o znormalizowaniu stosunków z Polską. Zaczynamy tu odnośne uwagi autora: „Gdy w Polsce zimą 1933-34 r. nastąpiło w powodu francuskiej polityki większego zbliżenia do Rosji sowieckiej ochłodzenie dotychczasowego zapoju do przyjaźni z Francją, a marszałek Piłsudski, który był przeciwnikiem Rosji sowieckiej i rzecznikiem samodzielnej polityki polskiej, uzyskał kierowniczy wpływ na rząd polski, Hitler, obdarzony wybitnym instynktem wyzyskiwania nadarzających się możliwości, dostrzegł istnienie doskonałej sposobności, by Polskę wydobyć z zależności od polityki francuskiej i by równocześnie dostarczyć dowodu swej dobrej woli przyczynienia się do pacyfikacji Europy“ (str. 343).

I jeszcze wyraźniej nieco dalej (str. 345): „Główne znaczenie (paktu) widział Hitler w tym, że wartość przymierza francusko-polskiego została obniżona a tym samym przerwane w jednym miejscu okrażenie, którego pragnęła Francja“.

Referując o tym posunięciu politycznym Hitlera, jak i o wielu innych, Meissner zdaje się naiwnie ciągle jeszcze wierzyć, że Hitler pragnął szczerze realizować cele proklamowane przez siebie w danym momencie. Duża musiała być siła sugestywna tego wielkiej klasy gracza i oszusta politycznego. Jak wiemy z doświadczenia, deklaracje Hitlera, umowy z nim, zobowiązania jego, choćby przyjęte w najbardziej uroczystej formie, nie miały najmniejszej wartości.

Ze jednak Hitler po rozbiciu Czechosłowacji dążył świadomie do konfliktu z Polską, nie ulega dla Meissnera wątpliwości, chociaż — znowu niekonsekwentnie — pisze o „polnische Übergriffe“. Słuszna też jest ocena o decydującym dla wybuchu wojny znaczeniu sowieckiego - niemieckiego paktu o nieagresji. „Bez tej rosyjskiej reasekuracji nie byłby (Hitler) prawdopodobnie się odważył zaatakować Polskę, gdyż musiał się z tym liczyć, że Anglia i Francja wypełnią swe zobowiązania sojusznicze, a poza tym istniała możliwość, że albo zaraz albo później Związek sowiecki stanie po ich stronie. Teraz jednak był pewien, że Anglia i Francja będą się starały uniknąć interwencji, która zawierała również groźbę konfliktu z Rosją. Teraz więc dopiero był zdecydowany do uderzenia“ (str. 513).

Rosja sowiecka, ta dzisiejsza protektorka i gwarantka Polskiej bierutowej, nie tylko że przez swój układ z

Niemcami z sierpnia 1939 r. spowodowała wybuch wojny i jedną z największych katastrof politycznych w historii Polski, ale, jak to nam przypominają Melssner, w dniu 19 września 1939 r. wypowiedziała się przeciwko istnieniu choćby znacznie okrojonego, ale niepodległego państwa polskiego i domagała się rozbioru Polski.

Autor usiłuje uwolnić szersze koła społeczeństwa niemieckiego od winy za okrucieństwa i brutalności, popełniane przez Niemców w okresie wojny. W szczególności utrzymuje on, że o masowym tępieniu Żydów wiedziało tylko szczerpie grono doktora Hitlera, Himmlera i Heydricha.

Schmidta wspomnienia napisane są w lżejszym tonie, niż sumienny „referat” Melssnera. Wydanie angielskie pomija okres przedhitlerowski działalności Schmidta, który był postacią znaną w międzynarodowym świecie dyplomatycznym i uczestniczył niemal we wszystkich ważniejszych konferencjach i spotkaniach Hitlera z zagranicznymi mężami stanu. Schmidt posiadał rangę ministra pełnomocnego (Gesaudter) i w tym charakterze przyjął brytyjskie wypowiedzenie wojny w dn. 3 września 1939 r.

Jego wspomnienia, pisane żywo, interesująco, często z humorem, nie przynoszą osobliwych rewelacji. Wynika z nich, że Niemcy byłyby mogły uzyskać wiele swych celów politycznych i uniknąć izolacji, gdyby były prowadziły rozsądniejszą grę i nie były popełniały błędów psychologicznych. Świat zachodni, a w szczególności wielu polityków angielskich odnosiło się do Niemiec, a nawet samego Hitlera, z dużą życzliwością.

Schmidt cytuje np. słowa Lloyd George'a, który w 1936 r. odwiedził Hitlera i w odpowiedzi na żartobliwe powitanie przez swą córkę Megan słowami „Heil Hitler” przybrał poważny wyraz twarzy i oświadczył: „Z pewnością — Heil Hitler! I ja to mówię też, gdyż na prawdę jest to wielki człowiek” (str. 59).

Choć w kołach brytyjskich krzywno się niekiedy na sposób stawia-

nia żądań niemieckich, jednak na ogół przyjmowano je, jak np. żądanie przyznania Niemcom prawa do 35% stanu floty brytyjskiej itd.

Dosyć ciekawa jest informacja Schmidta, że Hitler sprawę Gdańska poruszył już w 1937 r. w czasie wizyty lorda Halifaxa w Berlinie. Polska żądania niemieckie w sprawie Gdańska i tzw. korytarza odrzuciła jeszcze zanim uzyskała gwarancje angielskie.

Sylwetką szefa Schmidta — v. Ribbentropa wypada bardzo krytycznie. Był on wyjątkiem tubą Hitlera „his master's voice”.

Książka ilustrowana jest wieloma fotografiami Hitlera w otoczeniu wizytujących go mężów stanu i polityków.

Jest to echo fanfar Hitlera ku czci tysiącletniej Rzeszy narodowo-socjalistycznej, która trwała niewiele ponad 10 lat.

(m. ost.)

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

FUNDUSZ INWALIDZKI IMIENIA GEN. HALLERA

Przy Związku Inwalidów Wojennych PSZ powstał Fundusz Inwalidzki im. gen. J. Hallera. Honorowym przewodniczącym Funduszu jest sam gen. Haller. Fundusz ma na celu zgromadzenie środków na pomoc polskim inwalidom wojennym w czasie, kiedy środki pomocy, z których korzysta Związek Inwalidów w akcji zapomogowej, wyczerpały się lub zmniejszą do wysokości, niewspółmiernej do potrzeb inwalidów. Organizacyjnie Fundusz jest związany ze Związkiem Inwalidów, jednakże pod względem finansowym jest od niego niezależny.

ZE ZJEDNOCZENIA POLSKIEGO

W ub. m. odbyło się konstytucyjne posiedzenie nowej Rady Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii. Przewodniczącym Rady został wybrany p. Ludwik Krajewski.

LISTY DO REDAKCJI JESZCZE O HISTORII AK

Szanowny Panie Redaktorze,
W związku z wydaniem książki pt. „Polskie Siły Zbrojne” tom III „Armia Krajowa” uprzejmie proszę o umieszczenie następującej uwagi:

O trzymiesięcznych walkach w czasie „Burzy”, prowadzonych w bardzo ciężkich warunkach przez I/16 pp., oddział liczący ponad 500 ludzi znalazł jedną wzmiankę na str. 920: W październiku 16 pp. stoczył z Niemcami szereg potyczek; w Kalwarii Zebrzydowskiej oddito więźniów. Oraz na str. 921: W okolicy Ciężkowic, skutkiem zdrady gospodarza oddział 16 pp. zaskoczony i po półtoragodzinnej walce rozbity. Straty naszego oddziału 18 zabitych, 10 w niewoli, 7 rannych. W grudniu panował w okręgu względny spokój; jedynie w okolicy Czców placówka 16 pp. stoczyła (13.12.44) dwugodzinna walkę z oddziałem 300 żandarmów kładąc na polu 6 zabitych Niemców.

Pomijając wszystko, trudno nie wspomnieć choćby 24-godzinnej potyczki w miejscowości Jamna koło Ciężkowic i przebiecie się okrajonego oddziału z utratą całego taboru i podać choćby w ogólnych zarysach istnienie i działalność wspomnianego oddziału. Jednocześnie pragnę nadmienić, że Komisja Historyczna dysponowała materiałem i relacjami nie tylko jednego uczestnika walk I/16 pp.

Wydaje mi się, że walki partyzanckie zostały opracowane bardzo pobieżnie i krzywdząco a książkę jest trudno nazwać mianem historii działań Armii Krajowej.

Łączę wyrazy poważania.

K. Bieniecki

WYJAŚNIENIE

W związku z notatką naszą w poprzednim numerze „Myśli” o zebraniu komisji środkowo-europejskiej Ruchu Europejskiego w Paryżu w połowie lipca, wyjaśniamy, że dr Tadeusz Bielecki nie wyjeżdżał na tę konferencję i nie brał w niej udziału.

ERRATA

W nr 179 „Myśli Polskiej”, na str. 2, łam drugi, zdanie, zawierające się w wierszu 14 od góry, winno brzmieć:

„Wpływy Moskwy zaczęłyby się cofać na dobre dopiero wówczas, gdyby położenie warstwy robotniczej — w szczególności robotników niewykwalifikowanych — uległo większej niż dotąd poprawie”.

„MYŚL POLSKA”

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEstern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £ 1.18.0 lub 6 dol.

Spadochrony białe i kolorowe
Materiały na ubrania i płaszcze

Koszule męskie i bluzki damskie

Pończochy nylonowe i jedwabne

Obuwie, artykuły toaletowe i galanteria

Lekarstwa po cenach kontrolowanych

TO NAJSKUTECZNIEJSZA POMOC RODZINIE

Zamawiaj zaraz — póki czas!

CENTRALA HANDLOWA SPK

57, Edbrooke Road, LONDON, W. 9

Zapraszamy do odwiedzenia naszego

Sklepu w Domu Kombatanta

18, Queens Gate Terrace, LONDON, S. W. 7

